Nr. 5 (1205). Warszawa, 17 (30) Stycznia 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Walka w Berlinie.

W dniu 23 i 25 b. m. Izba poselska sejmu pruskiego rozprawiała nad wnioskami rządowemi domagającemi się nowych funduszów na nowe środki niemczenia prowincyj polskich. Jedne z tych środków są już zaprojektowane, inne mają dopiero postać stanowczych zapowiedzi [illegible] Głównym projektem, niedającym się urzeczywistnić bez pieniędzy, jest wzmocnienie [illegible] nieprawego, niekonstytucyjnego nacisku, jaki wywierają już prezydenci i nadprezydenci regencyjni i prowincyalni za pomocą pieniędzy na urzędników i policyę, a podczas wyborów i na wyborców niemieckich. Z naciskiem tym łączy się ściśle żądza tej wiedzy, której niepodobna [illegible] w uniwersytecie, bo nabywa się ją tylko [illegible] szpiegów dobrze opłacanych i chciwością trzymanych mocno na smyczy. [illegible] projektem, wcielającym ducha dzisiejszego rządu pruskiego, a niedającym się urzeczywistniać bez pieniędzy, jest jawne [illegible] wynagradzanie urzędników gorliwych za nadzwyczajne znoje i szczerą w służbie gorliwość. Wytwarzanie armii walczącej z Polakami za pomocą praw pisanych, rozkazów, zakazów i denuncyacyi, za pomocą samowoli, lekceważenia i pogardy praw wrodzonych — jest celem obu tych środków.

Prezydenci i nadprezydenci w ziemiach polskich otrzymują teraz już po pół miliona marek na prowincyę do własnego rozporządzenia. Ta hojność skarbu rozciąga się na Poznańskie, Prusy i regencyę Opolską Szląska. Gdzie tylko Polak, tam do walki z nim staje fundusz gadzinowy, ohydniejszy od tego, którym Bismarck wpływał ongi na prasę. P. Hammerstein, min. spraw wew., zamienił jednem słowem w rzeczywistość to, co wydawało się tylko złudzeniem hakatystów. Rząd istotnie nawet na zebraniach wyborczych, poręczonych przez konstytucyę, chce zakazać mowy polskiej. Inna wiadomość, którą można było uważać również za prosty tylko wyziew hakatyzmu, znalazła potwierdzenie w fakcie już dokonanym: nadprezydent poznański wezwał już do siebie wszystkich urzędników Polaków i zapowiedział im, że jeśli nie wycofają swych wkładów oszczędności i udziałów z instytucyi polskich — pójdą precz. I to również ilustruje konstytucyjność i samą prawność pruską — i daje pojęcie o ogromie niedoli, w jakiej dziś znajduje się Polak w ziemiach pod ojcowską różdżkę, pod cywilizacyjną i kulturalną opiekę Fryderyka II i Fryd. Wilhelma II przez los dziejowy rzucony. Wogóle umyślne nakłady pieniężne na germanizacyę niezależnie od komisyi kolonizacyjnej wynoszą 10 mil. marek. Sejm je da, bo sejm to większość, to rząd.

P. Hammerstein mowę swoją z dnia 25-go stycznia r. b. zakończył w Izbie, w przybytku przecież prawa — słowami: „My rozkazujemy, wy macie nas słuchać.“ To *my* i *wy* samo już wystarcza do przekonania świata całego, że rząd pruski podjął walkę eksterminacyjną, że chce Polaków wytępić. Mówił o agitacyi wielkopolskiej na Śląsku, o zamiarze oderwania się od Prus—a zatem o politycznej niegodziwości Polaków jako obywateli prusko - niemieckich o wszystkich tych niebezpieczeństwach, któremi narodowość polska wrzekomo grozi Prusom, Niemcom i całej przyszłości wielkiej ojczyzny niemieckiej, „kroczącej na czele świata.“ I nie wierzył też w polityczną wielkopolskość, w chęć oderwania się od Prus jakoby ogarniającą już Ślązaków p. Bülow, gdy dnia 23-go bieżącego miesiąca polemizował z Richterem, pragnącym wprawdzie przerobić Polaków na Niemców, ale nie takimi środkami, jakich używa rząd. Ks. Jażdżewski, któremu wogóle nie powodzi się jako obrońcy uciśnionych, tym razem miał szczęśliwą, dyalektycznie i parlamentarnie chwilę, gdy zawołał: Oskarżacie nas o zamiar oderwania się? A dokądżebyśmy poszli, ktoby nas przyjął? Rzeczywiście, nie przyjąłby nikt. I nie ujmie się też nikt.

Wszystkie fundusze rząd od sejmu otrzyma. Dostanie nawet jako rząd niemiecki te *zulagi* dla urzędników pocztowych, których mu komisya budżetowa sejmu cesarstwa odmówić chciała. Pójdzie wszystko po myśli rządu, nie stanie się nic wbrew jego woli; cały arsenał skarbowy i prawodawczy naród pruski, wchłaniający w siebie coraz bardziej Niemców, zaopatrzy we wszystko, czego rząd pruski dla siebie się domaga. Nawet, co niepodobnem się wydawało: zakaz mówienia po polsku nawet na zebraniach wyborczych, nawet bez zmiany konstytucyi, bez umyślnego wyjątku, zawieszającego ją względem Polaków—stanie się rzeczywistością. Przyjdzie może nawet do zakazania języka polskiego w dziennikarstwie, do wypędzenia biczem prawa mowy polskiej z teatru, z koncertu, z wszelkiego zgromadzenia publicznego, z wagonu kolei żelaznej, z samej nawet ulicy i placu miejskiego. Na wszystko przygotowanym być potrzeba i wszystko z góry na siebie wziąć; ale na zolbrzymione brzemię życia potrzeba też i samemu się wzmocnić, czuwać tylko nad sercem i su-

mieniem, a wszystko się przetrwa. *Independance Belge*, uwydatniając jątrzący, podżegawczy charakter oskarżeń o bunt, mówi o odwadze rozpaczy, podniecającej do czynów. Nie takiego męztwa potrzeba na palącym dziś gruncie. Ocalenie dać może tylko silne odczuwanie swej indywidualności, szczera wola obronienia jej od napaści i ostania się, mimo wszystkiego i wbrew wszystkiemu. Człowiek największą swą potęgę ma w samym sobie, gdy ma samego siebie.

Szowinizm i demokracya.

[illegible]

Niedawno mieliśmy sposobność opisać typowy wypadek potwornego wypaczenia idei kultury duchowej przez szowinizm narodowy; czytelnik może nie zapomniał jeszcze owej historyi wolnego uniwersytetu włoskiego w Insbrucku, przerwania wykładu Gubernatisa przez policyę, wypędzenia znakomitego uczonego z Austryi — i frenetycznego zapału z jakim to wszystko przyjęli Niemcy w imię patryotyzmu. Ale zaborczy ten patryotyzm szerzy swe spustoszenie nieustannie i szczególniej tu w Austryi, gdzie Niemcy rozpaczliwie i beznadziejnie walczą o resztki nienależnego im panowania, możnaby co dzień notowac zdumiewające przykłady wykoszlawienia największych idei wskutek szowinizmu i tylko szowinizmu. Właśnie na posiedzeniu delegacyi austryackiej zdarzył się tak klasyczny, tak niebywały wypadek złożenia całej demokracyi na ołtarzu zaborczej idei narodowej, że warto go przypieczętować choćby w krótkiej notatce.

Szło o żądania Węgrów, co do unarodowienia ich armii, o czem nasi czytelnicy dobrze wiedzą. Przypominają też sobie, jaka była strona prawno państwowa całej sprawy. W ugodzie austro - węgierskiej z roku 1867, przeprowadzonej, jak wiadomo, w formie osobnych praw konstytucyjnych w każdem z dwóch państw powiedziano, że parlamenty uchwalają wprawdzie rekruta, pieniądze i rozstrzygają o wszystkiem co dotyczy rezerwy pospolitego ruszenia, wogóle uzupełniania kadrów, lecz co do „kierownictwa, dowództwa oraz wewnętrznej organizacyi wojska" powierza się je wyłącznej decyzyi monarchy. Oczywiście, że sformułowanie to było dwuznaczne, i nie mogło być innem, ponieważ na tym punkcie nie mogło wówczas w żaden sposób nastąpić szczere i gruntowne porozumienie między Habsburgami a narodem węgierskim, z drugiej zaś strony porozumienie przynajmniej formalne było konieczne. To też stało się ono tylko tymczasowem zawieszeniem broni. Cesarz rozumiał przez powyższe wyrażenie, że jego prawa, jako najwyższego wodza leżą najzupełniej po za obrębem konstytucyi, że są to absolutne prawa monarsze, mające źródło w samych sobie; niemiecko-austryaccy teoretycy tak też rzecz przedstawiali. Ale polityczny naród węgierski pojmował ją całkiem przeciwnie: te prawa do wewnętrznego zarządu armią nie są innej natury, jak wogóle wszelkie prawa króla węgierskiego, czyli, ze pochodzą wszystkie z woli ludu i wykonywane być mogą, jak i wszystkie inne jedynie za pośrednictwem ministrów, którzy i w tych wypadkach odpowiedzialni są przed parlamentem, względnie jeśli to są ministrowie wspólni przed delegacyami, a delegacya węgierska jest tylko specyalną komisyą parlamentu węgierskiego. Gdy w ciągu całego przeszłorocznego kryzysu szło o zmuszenie korony do wprowadzenia języka węgierskiego w różnych sprawach wojskowych, pojmowanie to tak konsekwentnie demokratyczne wypłynęło na jaw w całej jasności i stanowczości i w końcu mimo rozkazu dziennego z Chłopów, mimo wszystkie próby oporu, monarcha musiał się na nie zgodzić. Węgierska partya liberalna, partya rządowa, uchwaliła jednomyślnie jeszcze w październiku, jako punkt 8 (ósmy) swego programu następującą zasadę: „Odpowiedzialność polityczna rządu rozciąga się, jak na wszelki czyn korony tak i na ustanawianie języka komendy. Prawny wpływ parlamentu istnieje w tym wypadku, jak i względem każdego konstytucyjnego prawa monarchy." Na podstawie tego programu cesarz-król mianował ministeryum Tiszy, które go w zupełności przyjęło; a dla usunięcia wszelkich nieporozumien, wywołanych przez mowy Körbera sam parlament węgierski niedalej jak 5 stycznia b. r. uchwalił jednomyślnie co następuje: „Izba wypowiada przekonanie, że na Węgrzech źródłem wszelkich praw, a więc i prawa do ustanawiania języka służby i komendy i organizacyi wojska, jest wola narodów, wyrażająca się w prawodawstwie."

A co przez ten czas robili Austryacy? Nie mówię o Czechach, którzy poprostu przywłaszczyli sobie program wojskowy Węgrów, ale właśnie o Niemcach, jako korzystających z obecnego bezwątpienia niesprawiedliwego stanu rzeczy. Otóż Niemcy bez różnicy stronnictw nie powoływali się na żadne prawa, tylko łasili się do potęgi. Sejm dolno-austryacki po rozkazie dziennym z Chłopów powziął uchwałę, porównywającą ten rozkaz ni mniej ni więcej tylko ze słowem boskiem, rozpraszającem ciemności i chaos; a uchwałę tę ogłosił marszałek ksiądz Schmolk. A jednak prosta logika nasuwała wniosek, że skoro parlament węgierski ma prawo, przez swój wpływ na odpowiedzialnych ministrów, kontrolować wykonanie najwyższych czynności wojskowych monarchy jako wodza, to zupełnie takie same prawo powinno przysługiwać parlamentowi wiedeńskiemu. Prezes ministrów Körber próbował też w paru swych mowach, chociaż nieśmiało, zająć takie stanowisko. Przyznanie takiego prawa, czemu cesarz nie mógłby się opierać, przyznawszy je Węgrom, wystarczyłoby najzupełniej do ustrzeżenia armii wspólnej od rzeczywiście szkodliwych dla niej wstrząśnień, gdyby Węgrzy istotnie mieli takie na celu. Ale Niemcom austryackim bynajmniej nie o to chodzi: nie o rzeczywisty, fachowymi względami uzasadniony pożytek armii, tylko o utrzymanie w niej monopolu swego języka, który z natury rzeczy zapewnia Niemcom, wypieranym coraz bardziej z innych dykasteryj największą ilość patentów oficerskich Dlatego drżą przed wszelkiem wglądaniem parlamentu w rzeczy wojskowe — bo w parlamencie może czasami utworzyć się większość antiniemiecka. I z tych to w rzeczywistości względów poseł Derschatta, przywódca niemieckiej *partyi ludowej*, faktycznie partyi drobnego mieszczaństwa i chłopstwa, postawił w delegacyi austryackiej wniosek następujący: „podług przekonania delegacyi, nie ulega żadnej wątpliwości, że kierownictwo, dowództwo i wewnętrzna organizacya całej armii stanowią prawo monarsze, wyłącznie przysługujące panującemu, prawo, które on wykonywa bez udziału rządu odpowiedzialnego i do którego nie stosują się ogólne zasady współdziałania czynników prawodawczych? Delegacya wniosek ten uchwaliła wszystkimi głosami — nie wyłączając oczywiście pol-

---

Zofia Nałkowska.

LODOWE POLA.

Opasuję się powojami kwitnącymi i wyką, na głowę splatam wielki, ciężki wieniec z bławatków i kładę się na polanie leśnej twarzą w niebo.

Jest pogodne popołudnie letnie, upał. Górą między sosnami idzie cichy szum — przeciągły, trochę smutny, wiotkie, delikatne brzozy lekko szeleszczą listkami. Ale samego wiatru nie czuć.

Leżąc, śpiewam półgłosem, jednostajnie. Żadna melodya znana, tylko kompilacya z różnych słyszanych i niesłyszanych pieśni. Tak samo słowa: przypominam je sobie lub układam na poczekaniu. Często nie mogę dobrać rymu, ale melodyi nie przerywam: rezygnuję odrazu i kończę pierwszym lepszym konsonansem. Śpiewam o jakiemś marzeniu sennem, o miłości gorącej, wreszcie przyzywam śpiewem leśnego fauna, bo mam na niego ochotę.

Ciepło jest, cicho, ptaki delikatnie, urywanie ćwierkają — prawie szepcą. Z pomiędzy białych pni brzóz powinna wyjść zamyślona kozica z długim rogiem nad oczami...

Zamykam powieki przed słońcem, które przez drżące listki brzozowe sieje po igliwiu niespokojnie rozmigotane centki. Widzę wielką, świetlną plamę, później majaczenia siedmiu barw, później czerwone płomienie.

Ciepło jest i cicho. Macierzanka pachnie. A ja jestem nimfa leśna i czekam fauna.

Rzuciłam moje niezmierzone lodowe pola, moje zorze polarne i zimne, srebrne sny w stalaktytowych grotach — i wyszłam na spotkanie życia — słoneczna i silna.

Witam je śmiechem dzwoniącym, który jest syntezą długich dni męki i daremnego myślenia, skazuję się na nie z rezygnacyą, nie z bezsiły zrodzoną, lecz z nadludzkiego wysiłku, poddaję się brutalności jego bez drgnienia wstrętu i buntu.

Na gruzach moich marzeń mistycznych wyrósł bujny kwiat, pozytywny, twardy kult życia i rozkoszy.

Wspaniałomyślna i królewska jest moja rezygnacya. Kocham życie — mimo wszystko.

Depcę duszę moją — krwiożerczą, nienasyconą, chmurną duszę, która zabiła mi szczęście. Chcę zerwać dzisiaj czerwony, płomienny kwiat życia. Śpiewem przyzywam fauna.

Ale faun nie przychodzi... Zamiast jego koźlich kopyt słyszę w oddali tętent konia. Przykładam ucho do ziemi — tak.

Wiem — to Janusz mię szuka. Przestaję nucić i leżę cicho, nie poruszając się, w nadziei, że jadąc drogą leśną, nie dostrzeże mnie tu może między sosnami. Jednocześnie zaś zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby minął mię i pojechał dalej — uczułabym pewien zawód. Mimo to wciąż leżę cicho, bo nie kłamać staram się przed sobą tylko.

Janusz dostrzega mię zdala przez rzadkie pnie brzóz i sosen — i popędza konia. Zbliża się z po za mnie tak, że go nie widzę. Wiem, że jadąc szybko, chce wywołać we mnie jakąś reakcyę, przerazić mię lub wogóle poruszyć... Dlatego zupełnie nie zmieniam pozycyi i z rękami splecionemi pod głową patrzę w niebo.

skich — przeciwko tylko Czechom. Miała to być groźna demonstracya przeciwko Węgrom, lecz Węgrzy tylko się z niej śmieją. Jeśli uważacie, odpowiadają Austryakom, że wasz parlament niema żadnego prawa wtrącać się do zarządu sprawami wojskowemi, to niechże wam będzie na zdrowie. Nasz parlament to prawo posiada i wy go nam nie odbierzecie. I istotnie rzecz się ma tak, że za nadzieję promyczka łaski pańskiej, spadającego na adwokata Derschattę i najwierniejszych poddanych Niemców, za nadzieję, że z wdzięczności monarcha nie naruszy nigdy monopolu wojskowego Niemców, — oddają mu najspokojniej nietylko wszelkie prawo kontroli nad zarządem wojska — boć teraz ministeryum wojny, gdyby chciało, mogłoby na zasadzie tej uchwały odmawiać odpowiedzi na wszelkie interpelacye — ale oddają nawet faktycznie i prawo pilnowania za pośrednictwem parlamentu, aby cesarz na mocy swej władzy nieograniczonej nie zrobił czasami kiedy Węgrom ustępstw niezgodnych z dotychczasowym monopolem niemieckim.

Tym razem, w tym klasycznym wypadku, szowinizm posiadający i zaborczy doprowadził burżuazyę niemiecką poprostu do politycznej samokastracyi.

zz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najważniejsza dziś sprawa w świecie politycznym, ostry zatarg Rosyi z Japonią, czeka na ostateczne rozwiązanie. Może go jeszcze nie da spodziewana odpowiedź rosyjska na notę japońską, która według jednych ma powtarzać żądania poprzednie, według innych otwiera wrota do dalszych układów. W tem drugiem przypuszczeniu koniec byłby takim, jaki przewidywano w pierwszej chwili: podzielenie się Koreą, czy to jako „sferą wpływów,“ czy też jako realnem terytoryum do wzięcia. Byłby też w takiem rozwiązaniu dowód, że Anglia po za interesami Japonii nie widzi swoich własnych. Przypuszczeniu wszakże pojednawczości na gruncie rozbioru zbywa na wszelkich podstawach faktycznych; wprost przeciwne fakta świadczą o wytrwałości instynktu zachowawczego państwa wschodzącego słońca. Zbrojenie się nie ustaje, okręty przewozowe stoją w portach, część nawet wojska jest już na pokładach. Pogłoski wszakże o wylądowaniu już na Korei okazują się przedwczesnemi.

Do oznak niesprzyjających wróżbom pokoju należy i przebłyskujący niepokój Chin, z jakiemiś przygotowaniami wojskowemi złączony. Wyraźniejsze nawet od obecnych objawy tego rodzaju będą miały tylko znaczenie politycznego otrzeźwienia Chin, które zarówno dla Japonii, jak dla Anglii, gdyby ta chciała spełnić obowiązek sprzymierzeńczy, mogłoby być okolicznością pożądaną. Przygotowania wojenne Japonii objawiają się i troską o nerw wojny. Banki narodowe przyrzekły już 100 mil. jenów pożyczki wewnętrznej. Usiłowania pośrednictwa, zapisywane na rachunek wielkich mocarstw, należą do zakresu marzeń dziennikarskich. Żadne mocarstwo nie wystąpiło prócz dawniej już Francyi i Anglii, a i ich kroki miały czysto wywiadowczy charakter, z lekkiem tylko życzeniem utrzymania pokoju. O to dobro zabiegał rzeczywiście komitet Przyjaciół Pokoju w Bernie, proponując rozjemstwo haskie, ale i on propozycye swoje puścił tylko między publicystów. Takich spraw, jak obecna, nie rozstrzyga się w Hadze.

W Przedlitawii delegacya odbywa jeszcze posiedzenia. Komisya budżetowa zatwierdziła budżet min. spraw zagranicznych i wyraziła zaufanie hr. Gołuchowskiemu. Kramarz ponownie powstał na trójprzymierze: jest ono pożytecznem tylko dla Niemiec; w tem się nie pomylił, ale tem jeszcze nie rozstrzygnął, czy Austrya może je zerwać. W Bernie Morawskiem zasiadała komisya ugodowa czesko-niemiecka bez nadziei; chodzi głównie o uniwersytet, ale głębszą jeszcze a oporniejszą sprawą jest uporządkowanie t. zw. „stosunków językowych.“ Pitreich wydał rozporządzenie, nakazujące oficerom znać języki krajowe, a zapewniające awans podoficerom mimo nieznajomości języka niemieckiego. — Na Węgrzech obstrukcya wstrzymuje ciągle uchwalenie większego zaciągu wojskowego. Rozsrożyła ją jeszcze uchwała delegacyi austryackiej, że wojskowość należy wyłącznie do panującego — wbrew teorematowi sejmu węgierskiego. Stronnictwo Niezawisłości zaczyna się znowu rozpadać pod hasłem większej jeszcze energii, dąży zatem do rewolucyi. Kossuth traci znowu powagę. Pogróżek Tiszy, że rozwiąże sejm, nikt nie bierze poważnie.

We Francyi p. Combes wygrał d. 22 b. m. bitwę o Delsora. Większość 52 głosów na 540 głosujących dała mu [illegible] zaufania. *Indep. Belge* odsłania karty: podprefekt lunewilski mści się na des Essarts'cie, który go na wyborach pobił i skłania prefekta do wypędzenia Delsora. P. Combes syn jest przyjacielem podprefekta i popiera sprawę u ojca. Wreszcie sprowadzenie księdza alzackiego jest sprawą des Essarts'a. P. Combes znowu twierdzi, że Delsor jest Niemcem zaciętym i przyjechał szerzyć bunt w umysłach lunewilskich przeciw rządowi francuskiemu. W każdym razie sprawę wygrał, a czy ją miał złą, czy dobrą, to dla polityki obojętne. Bądź co bądź przykre wrażenie sprawiają motywa prefekta: zakłócenie stosunków z państwem, z którem Francyę łączą stosunki przyjazne.

Prokurator Baudouin wniósł rewizyę procesu Dreyfusa.

W sejmie ces. niemieckiego budżet wywołuje liczne mowy, między innymi Ledebura, Bebla, Richtera. D. 23 b. m. w Izbie poselskiej sejmu pruskiego przyszło do rozpraw o germanizacyi prowincyj polskich. Richter wygłosił mowę, na którą odpowiedział Bulow. Przemawiali jeszcze: Hammerstein, minister spraw wewn., i Jażdżewski. Rozprawy ponowiono d. 25 b. m.; przemawiał p. Skarżyński.

Prusy wysłały wojsko do Damary. Ks. Henryk w Kiel pobłogosławił kule namaszczonem słowem: niech każda zabija.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Samopomoc.

Znamiennym pomiędzy innymi objawem czasu jest powolne zrywanie z sentymentalną filantropią, przynoszącą raczej szkodę, niż korzyść; na jej miejsce pragniemy wprowadzić samopomoc, lub pomaganie innym przez wyszukiwanie pracy i dostarczanie możności uczciwego zarobku.

Ponieważ jest to idea społecznie i ekonomicznie jedynie zdrowa, przeto należy nam zastanowić się nad rozmaitemi stronami zagadnienia i nad jego stanem w pośród innych społeczeństw.

Przyjrzyjmy się, jak według tego co pisze *The Economic Review* pojmują w Anglii sprawę tych biedaków, którzy są pozbawieni pracy, jak tamto społeczeństwo przedstawia sobie sposoby walki z tem złem ekonomicznem i społecznem.

Zagadnienie, jakie przedstawiają pozbawieni pracy, zaciera się w swej jasności przez istnienie rzeszy niezdolnych do wyszukania sobie jakiegokolwiek zajęcia. Gdyby się znalazł sposób udzielenia pomocy

---

Rozpędzony koń zatrzymuje się w odległości dwóch kroków od mej głowy. Janusz zrozumiał odrazu wyzwanie — jest zły, czeka w milczeniu, z trudem utrzymuje konia w tem samem miejscu, bym musiała pierwsza obrócić ku niemu głowę.

Ja również czekam, wstrzymując śmiech. Wiem, że koń mnie nie roztratuje, bo Janusz za dobrym jest jeźdźcem. Słyszę chrapanie i niecierpliwe przestępowanie kopyt, grzebiących ziemię.

Wreszcie koń, zdenerwowany muchami i bąkami leśnemi, robi parę kroków, objeżdżając mię. Widzę teraz Janusza. Jest ładny. Nozdrza drgają mu ze złości. Ma jasną dżokiejkę, obcisłe spodnie i buty z lakierowanemi cholewami.

Kłania mi się sztywno i wyjmuje prawą nogę ze strzemienia, by zsiąść.

— Myślałam, że pan mnie nie dostrzeże i pojedzie dalej — mówię objektywnie, uśmiechając się lekko.

— A jednak zobaczyłem panią...

— Tak — to widzę...

— Czy pani chciała, bym pani nie dostrzegł?

— Tak.

— Dlaczego?

— Miałam bardzo miły nastrój — trochę panteistyczny, na tle natury — chciałam być sama.

— A ja mimo to nie odjadę—mówi z energią, zawiązując skrupulatnie trenzle na sosnowej gałęzi.

Milczenie. Janusz siada naprzeciwko mnie na ziemi, usunąwszy z niej przedtem parę szyszek. Ja podnoszę się również, opierając głowę na pniu sosny i poprawiając wieniec z bławatków.

— Czy pani nie uważa, że między nami jest walka?

— Może być — mówię lekceważąco. — A skąd pan wiedział, że jestem w lesie?

— Śledziłem panią.

— Czy tak?

— Z mego balkonu jest widok bardzo daleki. Różową suknię pani widziałem na łące i w polu. Szła pani miedzą nad wąwozem — prawda? I wreszcie zniknęła pani w lesie. — Ja przyjechałem tu gościńcem— dalеko krótsza droga.

— Ale mniej malownicza— no i prosta...

— Oczywiście mam to rozumieć alegorycznie?

— Nie — nie — niekoniecznie....

Uśmiecham się pobłażliwie i zaczyna się flirt. Janusz jest z tych, co lubią „inteligentne“ rozmowy. Z całem swem wyrobieniem towarzyskiem zniżam się do jego poziomu. Kokietuję go nie tem, że jestem ładna, lecz moją duszą, którą obracam obecnie na usługi ciała. Stosownie do psychiki przedmiotu zmieniam rodzaj mej kokieteryi — i dlatego stoi ona zawsze na wyżynach sztuki. A w dziedzinie tej kieruję się prawem kontrastu. Rosławskiego naprzykład kokietowałam z początku żywiołowością mej natury. Później dopiero wszystko to się zmieniło. Na Janusza działam jako kobieta — ale właśnie mądrością mą, sprytem, oryginalnością. Mogłabym być o połowę brzydsza, a nie straciłabym nic w jego oczach, jako kobieta do kochania. Zjawisko bardzo znamienne dla psychologii dzisiejszej miłości.

Po jego ładnie zbudowanej twarzy przechodzą łuny. Nie spuszcza ze mnie oczu. Ja zaś, mieniąc się jak kameleon, srebrząc całem bogactwem mego wdzięku, obserwuję go zupełnie objektywnie — z pewnem czysto artystycznem zainteresowaniem. Lubię u niego ten nastrój.

Robi na mnie ze swemi drgającemi nozdrzami wrażenie ładnego, rasowego zwierzęcia. Oczy -zwykle lśniące migotliwie— matowieją mu teraz, jakby schną — jakby

tym drugim, to może robotnicy sami zdołaliby się już uporać z pierwszymi. Niezdolnymi do znalezienia zajęcia są tacy mężczyźni i takie kobiety, których umysłowe lub fizyczne upośledzenie pozbawia możności zapracowania na kawałek chleba. Są to ludzie niewyćwiczeni, niczego nienauczeni. Zastępy ich zwiększają się, ponieważ postęp wymaga coraz większego uzdolnienia od robotnika i ponieważ metody przynoszenia ulgi proszącym nieszczęśliwym są częstokroć zachętą do próżniactwa i rozpusty. Nadzieja uzyskania zapomogi podczas bezrobocia sklania wielu do wydawania wszystkich zarobków w okresie pomyślnym, chociażby stosunki pozwalały nawet na oszczędności.

Pierwszym więc krokiem jest ustalenie różnicy pomiędzy pozbawionymi pracy a niemogącymi jej znaleźć. Chwilowo niezatrudnionymi powinny się zająć organizacye zawodowe, a obowiązkiem społeczeństwa jest pomyśleć o tych, którzy z jakich-kolwiek powodów pracy znaleźć nie mogą.

Armia niemogących znaleźć zajęcia wywiera na rynek pracy wpływ wysoce opłakany, oni to bowiem przyczyniają się najpotężniej do gwałtownego obniżenia wysokości wynagrodzenia: kuszą chlebodawców, ofiarując im tanią, jakkolwiek lichą i niewystarczającą pracę, a w czasie przesilenia żyją z jałmużny. Trzeba ich utrzymywać, a to pochłania ogromną część bogactwa krajowego. Są to pasorzyci, których należałoby się pozbyć za wszelką cenę.

Zastępy niezdolnych do pracy przynoszą jeszcze większą szkodę dobrobytowi społeczeństwa, niż jego majątkowi, jeżeli te dwie dziedziny można od siebie ściśle oddzielić. Widok ich nędzy podniecą w robotnikach uczucie gwałtownego oburzenia, filantropów zaś i prawodawców skłania do pospiesznego i bezplanowego działania. Obecność ich jest źródłem wszelkich pomysłów niedorzecznej filantropii. Ludzie miękkiego serca domagają się dla nich bezpłatnych obiadów i niczem nieograniczonego wsparcia. Taka sponiewierana klasa istot obniża poziom uczuć humanitarnych i podrywa siłę przykazania: „Szanuj wszystkich ludzi." Istnienie ich zniewala bardzo wielu do twierdzenia, że nic się nie da zrobić, wskutek czego serca ich ulegają znieczuleniu, a w myślach rodzi się idea zupełnej bezużyteczności jakichkolwiek środków.

Obok wyżej wymienionych istnieje atoli inna jeszcze przyczyna, dla której społeczeństwo powinno koniecznie zaopiekować się włóczęgami, niedołęgami i bezdomnymi, a mianowicie, że za ich pośrednictwem najskuteczniej i najszybciej szerzą się zarazy moralne i fizyczne. Oni to rozwłóczą wszędzie choroby, oni przyczyniają się do rozszerzania się wszelkich epidemij.

Własny interes, a jeszcze bardziej obowiązek, nakazuje społeczeństwu zająć się klasą niezdolnych do znalezienia pracy; jednostki słabe czy to z własnej winy, czyli też z winy kogoś innego, nie przestają być członkami społeczeństwa, które powinno dbać o nie. Wzrost zbiorowego bogactwa narodowego, połączony, ze wzrostem ilości tych wydziedziczonych jest dla niego hańbą, przynoszącą straty i poniżenie.

Co więc należy uczynić dla nieumiejących znaleźć pracy, aby zaspokoić ich potrzeby? Jedyną odpowiedzią na to jest: dać im lepsze zdrowie i lepsze wykształcenie. Na szczęście zaczyna się zwrot w tym kierunku. Opinia publiczna domaga się lepszych domów, więcej wolnych przestrzeni, większej pieczy nad choremi dziećmi, więcej skutecznych zarządzeń sanitarnych. Odczuwa ona coraz bardziej potrzebę i konieczność wykształcenia, wykraczającego po za ciasne ramy czytania i pisania. Widzimy wszyscy, że możność dostatecznego zarobienia na kawałek chleba zależy od inteligencyi, ta zaś od działalności umysłu. Należy uczynić szkołę bardziej zajmującą, mózgi dziecinne rozwijać przy pomocy studyów nad przyrodą, zakładać bezpłatne biblioteki, galerye obrazów i popisy muzyczne. Lecz wszystko to jest praca dla przyszłości i dla młodego pokolenia, a tymczasem przecie mamy obecnie żyjących starszych, dla których też koniecznie trzeba coś zrobić.

Przedewszystkiem należy raz na zawsze odrzucić traktowanie biedaków, jak przestępców i złe obchodzenie się z nimi; niema na to niedomaganie innego lekarstwa, tylko oświata.

Pierwszym więc obowiązkiem jest założenie szkół pracy, zarówno dla mężczyzn jak dla kobiet, na pewnych specyalnych warunkach. Szkoły te powinny powstać na wsi, aby było dosyć wolnego miejsca, dosyć czystego powietrza, i sposobności do ćwiczeń fizycznych; wreszcie mają one dostarczać wielkiej rozmaitości pracy tak w domu, jak na roli. Szkoły takie należałoby rozrzucić po całym kraju, aby każdy mógł się dostać do nich z łatwością i nadać im charakter internatów, gdzie pensyonarze dobrze karmieni używaliby świeżego powietrza, posiadali środki kształcenia się, mie sumienną opiekę lekarską i byli absolutnie wolni od wszelkiego poniżającego lu przykrego traktowania. Przedewszystkiem zaś należałoby dawać im wykształcenie w tego rodzaju pracy, jaka przypada do ich upodobania i budzi w nich zamiłowanie. Troskliwość kierowników pod tym względem nigdy nie może być za wielka.

Doświadczenie wykazało, że ludzie pozbawieni wytrwałości, których słabość czyli też cnota polega na tem, że lubią zawsz nowe rzeczy, pracują pilnie około zakładania ogrodów, wytykając ścieżki, urządzając klomby, oczekując wreszcie z utęsknieniem współdziałania przyrody z ich trudami. Praca wywołująca zdolności twórcze, sprawia wysokie zadowolenie, i wyrabia stopniowo pokrewne uzdolnienia. Wielu mężczyzn i kobiet zdradza zmysł artystyczny, znajdujący ujście w pracy zdobniczej, inni wreszcie doznają miłego uczucia w zajmowaniu się bydłem domowem do tego stopnia, że praca staje się dla nich przyjemnem przyzwyczajeniem.

W takich szkołach należałoby przestrzegać oczywiście, aby pensyonarze nie wychodzili po za granice zakład i cały czas pracowali pilnie oraz systematycznie.

Mogłyby jednakże istnieć jeszcze szkoły takiego typu, gdzie praca dawałaby pewien zarobek, który pensyonarze mieliby prawo posyłać żonom i dzieciom, a nawet co jakiś czas odwiedzać swe rodziny i starać się o pracę gdzieindziej bez utraty prawa powrotu do zakładu, w razie gdyby poszukiwanie okazało się bezskuteczne. Tacy pensyonarze musieliby jednakże zobowiązać się do pozostania przez pewien czas w obrębie szkoły dla odbycia potrzebnej nauki i nabrania zwyczajów pilności oraz staranności.

Przy pomocy takich szkół, pomieszczanych na wsi, moznaby starać się o zatrzymanie na roli tych z pomiędzy pensyonarzy, którzy okazaliby zamiłowanie do pracy gospodarskiej, a nawet sprobować, czyby nie udało się przy pomocy świeżych kolonistów pościągać z powrotem tych, którzy, wyemigrowawszy dla lepszego kawałka chleba doznali, na bruku miejskim sromotnego zawodu i zawisnęli pomiędzy niebem a ziemią.

Ostatecznie trzeba się pogodzić ze smutną myślą, że pewna ilość ludzi nigdy nie zdoła zapracować na swoje utrzymanie; ale na to nie ma już rady i solidarność

---

ich żar przygaszony sam siebie przepalał. Spuszcza je raz po raz pod mym wrokiem i stara się poczciwie uśmiechać, ale w tym spokojnym uśmiechu jego białe zęby połyskują źle.

— Komar gryzie pana w czoło — zwracam mu uwagę.

Spędza go niedbale.

— To nic — mówi z uśmiechem — może mię gryźć, mam aż zadużo krwi.

W głosie jego drży nuta pewnej pychy. Myliłam się, sądząc, że nie zna gatunku swej siły. Zazdroszczę mu, bo prawdziwem szczęściem jest uświadomiona siła.

Bawi się szyszkami, celując niemi w konia, który zaniepokojony wspina się i wierzga. Radzę mu, by zamiast męczyć niepotrzebnie zwierzę, za cel obrał sobie pień sosny, sama zaś zbliżam się do konia, który mierzy mię nieufnie mądrem spojrzeniem swych ślicznych oczu, i klepię go po karku.

— Panno Janino, niech się pani tak do niej nie przysuwa... Może panią uderzyć—

— A nie lękał się pan tego, gdy kara stała tuż nad moją głową?—pytam z uśmiechem.

— Trzymałem ją wtedy — cedzi przez zęby.

Zbliża się do mnie i wyciąga rękę, by mię przemocą odciągnąć od konia. Ale pod mem jasnem, zdziwionem spojrzeniem pokornieje nagle.

— Niech mi się pani pozwoli pocałować w rękę - - prosi szybko, stłumionym głosem.

Stoi tuż przy mnie. Na chwilę robi mi się gorąco, ale nie odsuwam się od niego. Odwrócona profilem, oparta o grzywę konia, nie poruszając się, nie chowając rąk, odpowiadam spokojnie:

— Nie.

Janusz cofa się posłusznie, jak pies, i odchodzi na parę kroków.

— Chodźmy już do domu — mówię po chwili milczenia. Ale musi mi pan odstąpić konia.

— Z największą chęcią—tylko co pani zrobi z siodłem?

— O, to nic, potrafię jeździć po damsku i na takiem. Przełożymy tylko strzemię.

Z jego ręki lekko wskakuję na siodło. Janusz skraca strzemię i sam wkłada w nie mój pantofel. Na twarzy jego znowu widzę łuny.

— Niech pani mi pozwoli prowadzić konia. Jest niespokojny i może panią zrzucić.

— Dziękuję panu, nie boję się zupełnie.

Nagle Janusz obejmuje mię znienacka i z całej siły głowę swą przyciska mi do kolan.

Jednocześnie prawie uderzam klacz szpicrutą i odjeżdżam szybko, nie oglądając się po za siebie. Z trudem udaje mi się utrzymać równowagę na męzkiem siodle.

Uciekam nie od niego i nie z trwogi: chcę tylko, by nie zobaczył mego rumieńca, który nie jest ani rumieńcem wstydu, ani rumieńcem oburzenia.

* *

Janusz wyjechał na parę dni do L. Zostałam sama z Martą i jest nam okropnie dobrze. Jest to jedyna istota pod słońcem, z którą zdolna jestem podzielać rozkosz czytania mądrych i ładnych rzeczy. Rozumie i odczuwa wszystko tak, jak ja. Czytając razem, wzajemnie wprawiamy się w zdumienie głębokością i subtelnością naszych spostrzeżeń. Wytwarza się rozkoszny nastrój, w którym przestajemy wzajemnie odczuwać naszą obecność. Odbieramy wrażenia jednocześnie, z jednakową bezpośredniością: dość nam spojrzenia, giestu, by się zrozumieć. Stajemy się zupełnie takie same, te same. Jesteśmy oderwane od

społeczna musi znaleźć dla tych nieszczęśliwców jakiś *modus vivendi*, ponieważ wymaga tego uczucie ludzkości.

Żydzi w XIX wieku.

Gdy wskutek rozwoju Syonizmu tak zwana kwestya żydowska nabrała szczególniejszej aktualności, nie od rzeczy będzie rzucić okiem na jej dzieje, jak zostały przedstawione w artykule M. Gartera w *North American Review*, który tu w streszczeniu podajemy.

Całą historyę Żydów w **XIX** w. można określić jako ocknienie się i wzmocnienie samoświadomości—powiada autor, oraz pragnienie zapewnienia sobie absolutnej równości z ludnością nieżydowską. Dążność ta objawiała się we wszystkich dziedzinach życia: w polityce, nauce i religii. Wyszedłszy z sztucznego ukrycia, w jakiem pozostawali przez całe wieki, zaczęli Żydi brać czynny udział w życiu publicznem, oczywiście w miarę budzenia się tego życia w zamieszkiwanych przez nich krajach.

Ruch niezawsze oznacza postęp; czasami zwraca się on w kierunku wstecznym, to też i ruch wśród mas żydowskich posiada rozmaity charakter i chcąc wydać sąd o nim, trzeba go poznać wszechstronnie i zestawić rozliczne jego objawy, a potem wyciągnąć z nich ogólny wniosek.

Z końcem wieku XVIII żydzi zażywali swobód jedynie we Francyi i Turcyi, gdzie nigdy ich nie prześladowano. We Francyi swobody nadała Żydom Wielka Rewolucya; był to więc wypływ ogólnego zapału, a nie poczucia zadawanych od wieków krzywd; ulgi dla Żydów nie były przeto uznaniem należnych im praw, lecz po prostu darowizna, wynikająca z ogólnego nastroju chwili. Był to jedynie brzask nowego światła, mającego rozjaśnić całą Europę, pierwszy powiew tego huraganu, który szedł rozwalać mury feudalizmu i otworzyć na oścież wrota do nowego życia.

Bez względu jednakże na pobudki, które zniewoliły Francuzów do dania Żydom praw obywatelskich, byli oni za nie wdzięczni i chwycili się tej sposobności, aby zerwać ze swą straszną przeszłością. Wkrótce atoli, bo już za Napoleona zaczęła się reakcya: wtedy to przyszło do skutku pierwsze zgromadzenie żydowskie, które musiało odpowiedzieć na cały szereg drażliwych pytań, a pomiędzy innemi i na pytanie, jak Żydzi mogą połączyć patryotyzm francuski z chęcią przeniesienia się do Palestyny.

Nowość ta miała dla Żydów bardzo doniosłe znaczenie, ponieważ dała im sposobność radzenia nad sobą, skarżenia się na swe upośledzenie i wogóle wzięcia udziału w życiu publicznem, w życiu parlamentarnem, przez co otworzyła się dla nich możność stanowienia do pewnego stopnia o samych sobie, do czego poprzednio nie mieli prawa. Żydzi przez całe wieki byli w miastach europejskich ograniczeni do tak zwanego Ghetta, które, chociaż powstało we Włoszech, przeniosło się wkrótce do Niemiec.

Przepisy Ghetta były liczne i bardzo uciążliwe; wymienić wszystkich niepodobna z powodu ich mnogości; wystarczy powiedzieć, że nawet małżeństwo podlegało ograniczeniom i że tylko nieznaczna ilość związków małżeńskich była dozwolona w każdej gminie żydowskiej. Nie było oczywiście mowy o swobodzie ruchów, o prawach cywilnych, jakich obecnie używa każdy cudzoziemiec w krajach cywilizowanych. Żydzi musieli mieszkać na ściśle określonej przestrzeni, musieli na chleb powszedni zarabiać w ściśle oznaczony sposób, i uprawiać ściśle określoną ilość rzemiosł oraz zawodów. Nie mieli oni prawa swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce, lub mieszkania po za oznaczonym przez władzę kawałkiem ziemi. Wszelkie stosunki ze światem chrześciańskim nie były dozwolone w tych Ghettach niemieckich i żaden ich mieszkaniec nie mógł nawet marzyć o tych zmianach, które miały tak prędko same nastąpić.

Tryumfalny pochód armii Napoleona zmiótł z powierzchni ziemi wszystkie owe sztuczne przeszkody, które krępowały tak Żydów, jak chrześcian, nienależących do klas uprzywilejowanych; brzask nowej ery zajaśniał wszędzie na horyzoncie życia ludów. Wezwanie do walki o wolność odbiło się rozgłośnem echem po całej Europie. Zaczęto propagować nowe idee zbratania rodzaju ludzkiego, równości przed prawem, wolności myśli i czynu, idee, które do tej pory żyły jedynie w marzeniach filozofów. Żadnymi przesądami nieskrępowani Żydzi odpowiedzieli radośnie na to wezwanie do walki o nowe prawa człowieka. Po upadku Napoleona zaczęła się reakcya, lecz ani demokraci, ani Żydzi nie mieli ochoty tracić zakosztowanej swobody, stąd ci ostatni zaczęli popierać ruch wolnościowy i liberalny, od niego bowiem jedynie mogli się spodziewać uznania swych praw.

W Niemczech obalenie wszystkich przepisów wyjątkowych przeciw Żydom nastąpiło około roku 1870. W Anglii wobec bardzo liberalnej konstytucyi uzyskanie praw nie było rzeczą trudną i zostało też łatwo zdobyte. Ponieważ w środkowej, a zwłaszcza wschodniej Europie położenie Żydów nie było tak korzystne, przeto rozpoczął się „D r a n g n a c h d e m W e s t e n", potężniejący stale. Prąd ten sprawił, że Żydzi, jak nigdy przedtem, rozlali się po całej Europie zachodniej w pogoni za wolnością i prawami obywatelskiemi. Tłumnie zaczęli opuszczać Ghetta wschodnie i cisnąć się do tych krajów, które dawały im pozornie możność zrealizowania „mesyanicznych nadziei".

Poprawa położenia Żydów w zachodniej Europie czyniła postępy aż do roku 1875; od tej chwili zaczęło się znaczne pogorszenie, dzięki rozpoczętemu przez Bismarcka „kulturkampfowi" przeciwko katolikom, za który winę zrzucono na Żydów, ponieważ wielu z nich, a zwłaszcza posłowie do parlamentu, popierali Bismarcka w jego walce z papieżem. Wskutek wpływu, jaki Niemcy wywierali na umysły całej Europy, ruch antiżydowski rozlał się po za granice Niemiec i objął inne kraje. Obok tego rozwój szowinizmu germańskiego i wiary w jakieś specyalne posłannictwo narodu niemieckiego sprawiły, że Żydzi, choć walczyli w szeregach niemieckich przeciwko swemu własnemu oswobodzicielowi Napoleonowi, zaczęli powoli tracić równe prawa, które postanowiono zastąpić tolerancyą.

Pomimo licznych ofiar, ponoszonych przez Żydów na ołtarzu wspólnej ojczyzny niemieckiej, z jednej strony rozwój ducha teutońskiego, z drugiej zaś rozwój namiętności prześladowania, która objawiała się w walce z papieżem, zaczęto coraz silniej zwracać się przeciwko Żydom i oskarżać ich o wzrost niedowiarstwa, oddalającego lud od kościoła, jako też o rozwój radykalizmu politycznego, grożącego prerogatywom osób i klas uprzywilejowanych.

Wszystko to jednak nie byłoby jeszcze wystarczyło do wyparcia Żydów z ich prawnie strzeżonego stanowiska, i nie byłoby znalazło uznania w masach, gdyby te masy nie zostały skutecznie oraz energicznie odciągnięte od ideałów altruizmu, równości, braterstwa, w których obronie ponosiły

---

wszystkiego, co nas otacza — i porozumiewamy się gdzieś na wyżynach, schodzimy się, spotykamy na niebotycznych mostach, łączących nad otchłaniami dwie dusze, gdzie mało kto chodzić umie, bo te mosty są zrobione z koronkowych wiązań. U podnóża duszy łatwo ludzie schodzą się ze sobą, ale ku wierzchołkom oddalają się coraz bardziej — i przepaść między nimi coraz głębszą się staje. A misterne mosty, [illegible]ane od szczytu do szczytu, kruszą się i spadają pod lada cięższem, brutalniejszem stąpnięciem.

Mimo to niema miłości między mną i Martą, nawet niebardzo się lubimy. Nie nazywamy się również przyjaciółkami. Obie zgadzamy się na to, że między kobietami niemożliwa jest szczera miłość. Nigdy też nie kłamiemy jej sobie. A chociaż nie wszystko mówimy szczerze słowami, znamy się i rozumiemy doskonale.

Jedynem, coby nas mogło rozłączyć, byłoby stanięcie sobie na drodze w miłości dla mężczyzny. Na szczęście jednak Marta i tej [illegible] uznaje. Z usposobienia jest ascetką i chwali się tem, że nigdy dotąd nikt jej nie kochał. Lubi wogóle grać „zapoznaną" nieocenioną przez świat i ludzi. Robi to zresztą z wdziękiem, bo jest bardzo ładna — i właściwie nikt tego na seryo nie bierze.

— Życie moje — mówi — czyste jest, jak biała karta, bez jednego pocałunku, rumieńca, dreszczu. Jedyną wiarą moją jest ta kryształowa przejrzystość mego życia, ta świadomość, że życie cudze przechodzi koło mnie, ociera się o mnie i nie pozostawia na mej długiej, wązkiej, białej sukni nawet złotego pyłu kwiatów swoich — ta nieskazitelność mej duszy, która z wędrówki po kopalniach węgla wychodzi biała, jak śnieg... Jedynym dogmatem moim, jedynem ukochaniem jest ta myśl, że przejdę przez życie z bezgraniczną, spokojną słodyczą, estetycznie i szlachetnie, że w historyi ziemi będę ładnem, słonecznem zjawiskiem... Jestem ładnym, rzadkim kwiatem. Tak umrę. Nie chcę miłości, choćby nawet szczęście dać mi miała...

Czasami o błękitnym zmierzchu gra *Der Frühling* Griega. I wtedy wiem, że kłamie. W muzyce jej cicho i miękko błaga o coś bezgraniczna tęsknota. Jej ładna, biała dusza łka boleśnie i marzy, zawsze marzy o miłości.

* * *

Jestem *malgré tout* mądra, młoda i ładna — więc chcę żyć. Nietzsche każe nie zapominać kija na kobietę, Amiel — należeć do jednostki i mieć swą odrębną, płciową etykę, Garborg — chodzić wszędzie z guwernantką, by przyszłemu mężowi nie dać żadnej możliwości podejrzenia. A mimo to ja chcę jednak być kobietą.

Dotąd jeszcze nie urobiłam sobie pojęcia o istocie kobiecości. W epoce Rosławskiego wierzyłam święcie, że cechą charakterystyczną kobiety jest estetyzm, ale—wszak Ellen Key mówi, że kobieta kształtuje się zawsze wedle pragnień mężczyzny. Niechaj tym jedynym będzie jakiś pierwotny, silny, despotyczny, a będę mu sieste i cygaro uprzyjemniała moją mądrą rozmową, będę rozplatała włosy i tańczyła w oczach jego, bijąc takt w tamburyno, będę innym odsłaniała tylko moje oczy, zakrywając twarz czadrą... Chcę być kobietą, tylko kobietą — czy może aż...

O, jakże ciężko dźwigać na białych, toczonych ramionach straszne brzemię uświadomionego człowieczeństwa...

* *

(C. d. n.).

śmierć na barykadach w pierwszej połowie wieku. Zaczęto podniecać patryotyzm miejscowy, a przedewszystkiem wpakowano cały naród w kleszcze militaryzmu, w których uczono go słuchać, a nie rozumować, i gdzie miał niby znaleźć polityczne zbawienie. Nastała epoka żelaza, a wyższe zasady ludzkości, sprawiedliwości i równości wszystkich członków państwa utopiono w strugach krwi, wylanych na wielu polach bitew. W tych warunkach Żydzi nie umieli zająć właściwego stanowiska, nie zrozumieli swych obowiązków względem siebie i drugich—odtrącili wielkie hasła ludzkości i oddali się w służbę siły. Interes ich nie na tem nie zyskał—utracili, nic zyskali przyjaciół. Położenie ich przeto zaczęło się pogarszać z dnia na dzień. Nacyonalizm—to znaczy egotyzm w najbrutalniejszej postaci—zajął miejsce humanizmu; interesy osobiste—miejsce dobra powszechnego; wszystko to zaś razem zrodziło ducha gorzkiej zazdrości i zawiści, nienawiści i prześladowania tego, co sprzeciwia się dzisiejszym rasowym i narodowym przesądom, podnoszonym do godności prawdziwego patryotyzmu. Stąd powszechny upadek moralny, i rozkład etyczny, który zwolna zaciemniał horyzont świata cywilizowanego w ciągu lat ostatnich. Oto psychologiczny początek nowej choroby moralnej, znanej pod nazwą antisemityzmu. Zrodzony i wypiastowany w Niemczech zaczął on przenosić się od jednego kraju do drugiego, idąc w ślad za militaryzmem, despotyzmem, zezwierzęceniem mas, fałszywym patryotyzmem, łakomstwem i zawiścią.

W pracach kulturalnych XIX w. Żydzi przyjęli gorliwy udział. Niema ani jednej gałęzi wiedzy, w której nie posiadaliby swoich przedstawicieli. Zarówno medycyna, jak nauki przyrodnicze, dyplomacya i prawo, muzyka i malarstwo, wreszcie dramat i powieść — słowem wszędzie znaleźć można Żydów, jako niepoślednich pracowników, którzy przyczynili się do niemałego rozwoju nauki i sztuki. Szlachetna ta dążność nie poprawiła jednak ich położenia. Nie zdobyli też oni tego równouprawnienia towarzyskiego, o jakiem marzyli. Co więcej, nie udało się im to nawet przez poczynienie daleko idących ustępstw. W Niemczech zaczęli oni mówić poprawną niemczyzną, zamiast żargonu niemiecko-hebrajskiego; poznanie niemieckiej literatury oraz niemieckiej myśli filozoficznej skłoniło ich do zreformowania swego starego wyznania i swych obrzędów. Wprowadzili więc niemieckie kazania, wyrugowali język hebrajski zarówno ze służby bożej, jak i z domu i zaczęli naśladować zewnętrzne formy kultu chrześciańskiego—wszystko w celu zaprowadzenia jak największej zewnętrznej jednostajności pomiędzy sobą a chrześcianami.

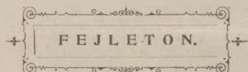
Prąd ten spotkał się jednak niebawem z silną reakcyą wśród samych Żydów, jakkolwiek był to znowu wynik naśladownictwa. Rozwijający się wśród Niemców kult wieków średnich kazał i Żydom cofnąć się wstecz dla pokazania, że nie są wcale gorsi od chrześcian, a nawet może lepsi, gdyż nie posiadali nigdy wieków ciemnoty i w przeszłości nie stali niżej od swych współobywateli. W ten sposób powstała szkoła Historyi Judaizmu, której głównym przedstawicielem był wybitny historyk Graetz.

Wkrótce zaczęto uprawiać inne gałęzie czysto żydowskich nauk, a żydowscy uczeni z powodzeniem posługiwali się metodami, wypracowanemi przez chrześcian; na początku wieku powstał pierwszy żydowski „przegląd“ — *Jewish Review* — na końcu pojawiło się takie wspaniałe wydawnictwo jak „Encyklopedya Żydowska,“ wydana przez słynną firmę nowoyorską: Funk i Wagnall.

Żydzi pozostali we wschodniej Europie nie czynili równie szybkich postępów, jakkolwiek usiłowali dotrzymać kroku swym najbliższym sąsiadom. Nowe tendencye przeciskały się tylko powoli w najdalsze zakątki.

Lecz poczucie jedności wśród rozproszonych po całej kuli ziemskiej, zaczęło się krzewić i sprawiło, że możniejsi uważali sobie za obowiązek występować w obronie swych współbraci, gdziekolwiek im się źle działo.

W ten sposób powstała słynna *Alliance Israelite*, założona w Paryżu. Wzięła ona szczególniej pod swą opiekę Żydów na wschodzie Europy. Stopniowo wskutek różnych nieprzyjaznych okoliczności zjednoczenia żydowskie ograniczały się do zakładania szkół, co nie wystarczało do osiągnięcie celów, jakie sobie Żydzi postawili. Rozczarowani i niejako wpędzeni w granice moralnego Ghetta, zaczęli oni nadawać nowe znaczenie dawnemu pragnieniu powrotu do ziemi swych ojców. Myśl osiedlenia się w Palestynie przeszła już różne stadya. Poczęła się ona w roku 1880, a do powodzenia tej idei przyczynił się głównie Edmund Rothschild. Potem w ślady jego poszedł Hirsch, lecz zaczął wysyłać Żydów do Argentyny. Żydowskie Tow. kolonizacyjne, które odziedziczyło po Hirschu majątek, zmieniło jego politykę i powróciło do myśli skolonizowania Palestyny. Przy poparciu mas powstał nowy prąd, noszący miano syonizmu, czyli powrotu do Syonu, jako jednostki politycznej. O znaczeniu jego wewnątrz społeczeństw, zawierających znaczny procent ludności żydowskiej, mieliśmy już sposobność niejednokrotnie mówić.



PAMIĘTNIK.

Niefortunny pomysł.

Jest rodzaj głuchoty i ślepoty specyficznie nasz. Polega on na tem, że nie widzimy objawów i nie słyszymy głosów życia, które nam wykluwają oczy i rozdzierają uszy. Dzięki temu kalectwu w chwili, kiedy wszystkie narody europejskie zamykają się szczelnie w obrębie swych miejscowych interesów i dążeń, kiedy nasze społeczeństwo również przesunęło punkt ciężkości rozwoju kulturalnego we własne wnętrze, kiedy ono stoi przerażone wielkością swych potrzeb i niedostatkiem środków, kiedy pasowanie się jego rozlicznych pragnień z niemocą tworzy prawdziwy dramat, kiedy ono całem swem doświadczeniem i rozumem protestuje przeciwko wywozowi i marnowaniu sił za granicami kraju — w takiej chwili „kolonia polska“ Rzymu urodziła cudaczny projekt założenia tam „artystycznej akademii polskiej.“ Przodkowie nasi wozili z sobą po Europie własną kuchnię, sprzęty domowe, pościel, służbę; dlaczegóżby ich duch nie miał zmartwychwstać w potomkach, którzy, jako artyści, radziby posiadać w Rzymie własny pensyonat, pracownie, bibliotekę, czytelnię, salę zabaw itd.? A to wszystko można urządzić kosztem bagateli — paruset tysięcy rubli. Kto na ten cel złoży 1,000 rb., otrzyma tytuł członka honorowego, a kto da 10,000, tego biust umieszczony będzie w Akademii. Tak zapewnia statut, nadesłany do pism warszawskich przez p. Rygiera.

Gdyby nie pamięć o podobnych bezmyślnych ofiarach w przeszłości, możnaby mniemać, że jest to jakiś koncept jednostkowy, który nie liczy się zupełnie ani z rozumem, ani z usposobieniem, ani z możnością ogółu. Niestety, my zamierzaliśmy nawet wydawać własnym nakładem naszych poetów — po angielsku. Precedensy więc dla takich rojeń istnieją. Ale sądzimy, że tym razem odezwa kolonii polskiej spotka się z większą dojrzałością umysłową społeczeństwa, które nie mogąc dotąd zdobyć się na elementarną szkołę artystyczną w Warszawie, nie zechce zapewne zakładać Akademii polskiej w Rzymie. Jeżeli zaś jej rzecznicy stawiają nam za przykład rozmaite bogate narody, które kiedyś pozwoliły sobie (a dziś żałują) takiego zbytku, to my radzimy zapatrywać się na Greków, którzy po całym świecie robią majątki i zwożą je do kraju, gdzie fundują wspaniałe instytucye. To są wzory dla nas. W końcu uwaga: nawet malarzom i rzeźbiarzom nie zaszkodziłoby pomyśleć, że żadne społeczeństwo, a szczególnie nasze, nie może żyć samą sztuką.

Odczyty na powodzian.

W przeszłą środę czterej literaci: pp. Sienkiewicz, Lewicki, Radziszewski i Baliński zakończyli w Filharmonii krąg odczytów, którymi w większych miastach Królestwa zbierali fundusz ratunkowy dla powodzian. Ogólna suma z tego przedsięwzięcia dosięgła kilkunastu tysięcy rubli. Zasiłek dla biedaków poważny, a zasługa uczestników — wielka. Naturalnie półgodzinna pogadanka lub króciutki utwór nie mógł dusz słuchaczów nakarmić obficie — umysłowy przeto rezultat owych wieczorów literackich musiał być z natury swojej bardzo skromny i ograniczyć się tylko do pożądanych wzruszeń. Ale to nie zmniejsza naszego uznania dla prelegentów. Odbyć w zimie kilkanaście forsownych podróży, przeczytać publicznie jedną rzecz kilkanaście razy — już to samo było dużą ofiarą, nie licząc znacznych kosztów podróży. W równej mierze należy się to uznanie p. Libickiemu, który wszędzie był i poniósł wszystkie a niemałe trudy organizacyi. Literatura więc złożyła szlachetny i pomocny dar dla nędzy, która w okolicach dotkniętych powodzią jest wielka i z każdym dniem staje się większą.

Tak bywa.

Nigdy nie był podejrzany o czyn nieprawy, całe życie pracował uczciwie, a jednak znalazł się przed kratkami sądowemi oskarżony o złodziejstwo. Stał wynędzniały, drżący od zimna i otwarcie, prosto opowiadał smutne dzieje swego przestępstwa. Od wielu już dni nie mógł znaleźć zajęcia, nędza w domu była straszna, dzieci i żona cierpiały głód; wreszcie najmłodsze dziecko zmarło z wycieńczenia i nie było za co go pochować — miłosierdzie ludzkie nie przyszło z pomocą. Zrozpaczony biedak wybił szybkę w pracowni osi żelaznych i skradzione przedmioty poniósł do Żyda handlarza, który wzruszony jego opowiadaniem dał mu za nie 6 rb. Dziecko pochowano, ale ojciec został aresztowany. Litera prawa liczy się tylko z faktem, „nie rusz cudzego“ nakazuje; więc złodziej musiał być ukarany. Oskarzyciel nie miał współczucia dla nędzarza, żądał i powinien był otrzymać zadośćuczynienie za swą krzywdę — choćby 6 tygodni więzienia. Litość nieszczęśliwemu okazało dwóch prostych Żydów — dwóch przedstawicieli tej nielubiane rasy, aż dwóch! Czemuż choć jeden z nich nie był chrześcianinem? Mordko Frydenfleit dał mu pieniędzy za towar, którego zupełnie nie potrzebował, Chaim Fuchs złożył na sądzie 5 rb. kaucyi, aby skazanego zabezpieczyć od natychmiastowego uwięzienia. Czy oprócz niego w sali

sądowej nie było nikogo? *Kuryerki* donoszą, że „publiczność przysłuchiwała się sprawie, zebrana licznie.“ Lecz najwrażliwszem, najskorszem do czynu okazało się tylko jedno serce — zwykłego handlarza, Żyda.

A oto znowu na ławie zbrodniarzy zasiadła żona, która siekierą zabiła męża; kobieta uczciwa, cicha, pracowita, dobra matka, jak świadczą o niej sąsiedzi. Przez lat kilkanaście mogła przecież wytrzymać, jak ją mąż bił, poniewierał, z nożem się za nią uganiał; mogła mu nawet urodzić kilkoro dzieci, które taki sam los czekał, gorzej, bo ojciec pijak i złodziej nie krył się z zamiarami zaprawienia ich do swego rzemiosła, jak podrosną. I oto pod wpływem może tej trwogi o przyszłość dzieci, bierna, cicha, uległa kobieta zdobyła się na czyn energii strasznej i wyst̨ępnej — zabiła. A dzieci? Dzieci patrzyły na życie rodziców. Co z nich wyrośnie? Czy to, co widziały, te wrażenia i uczucia, jakich doświadczyły nie odbija się na ich duszach? Z takich ziaren wyrastają najczęściej zatrute owoce.

Karawaniarze.

Wiadomą jest rzeczą, że na całym świecie tak dziennikarze, jak ludzie innych zawodów z wielką skwapliwością piętnują każdy czyn, który uważają za zły i szkodliwy. Jeśli kto powstrzymuje się od tej miłej roboty, to nie z przekonania, lecz z braku cywilnej odwagi i obawy przed osobistemi nieprzyjemnościami, jakie nań spaść mogą.

Któż jednak z tych, co z łatwością ganią na prawo i lewo, kto z nich nie zatrzyma się onieśmielony, gdy mu przypadnie pochwalić, jakiś czyn zacny, jakąś pracę użyteczną? Nie mówimy już o ludziach złych, przewrotnych lub z natury zjadliwych, którzy tylko żółć w ustach mają, ale bierzemy ludzi zacnych i prawych, przeświadczonych, że są kapłanami słuszności, sprawiedliwości i że żadna pokusa żadna prośba ani groźba nie może ich z tej drogi sprowadzić. Ci ludzie gromiący przed chwilą nieobywatelską działalność X, głupotę Y, egoizm lub chciwość Z stają nagle zakłopotani wobec czynu dobrego, słusznego i pożytecznego. Zjawia się tysiąc pobudek, które powstrzymują ich od wypowiedzenia szczerze i otwarcie wobec wszystkich swego zdania przychylnego. Jeśli to był przyjaciel, boją się posądzenia o reklamowanie lub stronną protekcyę, jeśli nieprzyjaciel — nie mogą się przemódz do chwalenia kogoś, kogo działalność przez całe życie zwalczali, jeśli nim jest ktoś obojętny — tłomaczą swe milczenie niedostateczną znajomością sprawy.

Bo jesteśmy niezmiernie subtelni w dociekaniu, czy czasem pod pozorami szlachetnymi nie tkwi coś bardzo nieładnego.

Za to jesteśmy gołębio łatwowiernymi w razie usłyszenia o jakiejś nikczemności. Wpada nasz przyjaciel, a nawet ktoś obcy niemający prawa do naszego zaufania i woła już od progu: „Wiecie co się stało? Skandal! Nowy skandal! X postąpił tak, że odtąd nikt porządny nie powinien mu ręki podawać.“

I w tej chwili wierzymy, niemal *z radością* wierzymy i w dalszym ciągu puszczamy ten „skandal“ w obieg.

A gdy z czasem przekonają nas, że czyn ten nie zasługiwał na potępienie, lecz przeciwnie na gorące uznanie, ani na chwilę nie będziemy się czuli winnymi, tłomacząc się dobrodusznie: „byliśmy w błąd wprowadzeni.... tak dziwnie o tej sprawie ludzie mówili...“

Jedna tylko rzecz robi na nas wrażenie i do porządku przyprowadza — śmierć... śmierć bądź to działacza, bądź samego dzieła.

Nieboszczyk nabiera wszystkich przymiotów, których w nim za życia nie widzieliśmy. Projekt jakiś, myśl, lub usiłowania, któreśmy mieli w podejrzeniu, zaczynamy przychylniej oceniać i nawet chwalić, gdy już upadły i rozchwiały się wobec niechęci lub obojętności ogólnej. Wówczas wygłaszamy mądrą sentencyę: „myśl była niezła, nawet ludzie porządni, tylko cóż... brak im była umiejętności organizacyjnej..., nie umieli wziąć się do tego... no i naturalnie musieli zrobić *klapę*. Gdyby kto inny wziął się do tego (ma się tu na myśli siebie samego), toby mogła być z tego rzecz dobra!“

Steinkellerom piszemy pomnikowe monografie, a za życia wymyślamy od bankrutów, artystom dajemy marnieć z głodu i wyrzucamy ich prace z porządniejszej wystawy, a w parę tygodni po śmierci urządzamy w tych samych salach i z tych samych obrazów wystawę pośmiertną z kokardami z krepy. Czyżbyśmy potrafili tak szybko przechodzić ewolucyę w poglądach na sztukę i dlaczego jakieś suchoty autora lub tyfus głodowy miałyby wpływ na stronę artystyczną jego utworów?

Powiedzmy więc sobie, że należymy do najpotężniejszego i najliczniejszego na świecie bractwa *karawaniarzy*, które wszystko robi, żeby zabić najlepsze usiłowania, a nic nie robi, żeby je popierać. Zapał ogarnia tych panów dopiero wtedy, kiedy z namaszczeniem mogą nieść końce sznurów od karawanu.

Mamy już utarty termin cudzoziemski — episjerów, czemubyśmy nie mogli wzbogacić mowy naszej — karawaniarzami?

Kropka.

Nowy objaw wzajemności.

Zawiązuje się nowe Towarzystwo wzajemne ubezpieczeń na życie, które w razie powodzenia stanie się na naszym gruncie ważną placówką dążności prawdziwie postępowych w dziedzinie stosunków ekonomicznych.

Wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe starego typu są przedsiębiorstwami spekulacyjnemi, opartemi na najprostszej chciwości, biorącej swe źródło w egoizmie społecznym. W nich dochody zasilają przedewszystkiem kieszeń nigdy nienasyconych akcyonaryuszów, którzy muszą mieć wysokie dywidendy od swego kapitału, a potem dopiero myślą o ubezpieczeniu tych, którzy oszczędności swoje w instytucyi składają.

Inaczej ma się rzecz w Towarzystwie na wzajemności opartem, jakiem będzie nowopowstające; tu nie ma mowy o opłacaniu akcyonaryuszów, gdyż wszystkie składane przez ubezpieczonych fundusze zostaną obrócone na ich wyłączną korzyść. Tylko w okresie przejściowym, przed spłaceniem zaciągniętej pożyczki w kwocie 100,000 rb., pewna i to nieznaczna ilość pieniędzy musi być użyta na procenty, lecz i to wielkiego uszczerbku nie przyniesie, a zresztą po przeminięciu okresu przejściowego, po wylosowaniu wszystkich pożyczonych pieniędzy w postaci udziałów, ubezpieczeni staną się posiadaczami tego zbiorowego majątku i będą mogli stosunkowo zmniejszyć swoje premia lub podnieść sumę ubezpieczenia.

Według obliczenia amortyzacya nastąpi już po dwudziestu latach, czyli że nawet ubezpieczający się dzisiaj człowiek w sile wieku może jeszcze doczekać chwili korzystania z wejścia do towarzystwa.

BADANIA NAUKOWE.

PRZEMIANA
pierwiastków chemicznych.

Gdy usiłowania alchemików przemiany metali nieszlachetnych w złoto okazały się bezowocnemi, chemia zawróciła z niebezpiecznej drogi. Materyał pozytywny oraz negatywny, zdobyty przez alchemików, jakoteż Lavoisierowskie prawo zachowania masy, posłużyły Daltonowi do wygłoszenia poglądu, że każdemu pierwiastkowi odpowiada specyalny, jemu tylko właściwy, gatunek atomu i że atom jest niepodzielny. Tyleż więc ma być rodzai atomów, ile jest pierwiastków.

W formie tej znajdziemy ukrytą myśl o nieprzemienialności wzajemnej pierwiastków, a więc twierdzenie wręcz przeciwne, niż za czasów rozwoju alchemii. Pierwiastek zniszczony być nie może, ilość jego jest stała tak choć może niezbyt otwarcie głosiła chemia od początku zeszłego stulecia, aż do jego ukończenia. Przeciwko poglądowi niepodzielności atomu, a zatem i stałości pierwiastków powstawało mimo to wielu; brakło im materyału dowodowego. Były to raczej na owe czasy fantazye marzycieli.

A jednak marzenia się sprawdziły.

Niedawno, bo podczas V-go zjazdu międzynarodowego dla chemii stosowanej w Berlinie przypomniał Crookes *) światu uczonemu swe sny proroczе, swe myśli wybujałe, że atomy pierwiastków to ciała złożone; że powstały one przez zgęszczenie materyi pierwotnej, protylu; że stopień zgęszczenia protylu odpowiada każdemu rodzajowi atomu; że wreszcie atomy, zawierające zbyt dużą ilość tej pramateryi, znalazłszy się w warunkach na ziemi, ulegać powinny stopniowemu rozkładowi!

Zaledwie siedm lat dzieli nas od chwili, kiedy Thomson z pomiarów nad promieniami katodowymi przekonał się, że są to pociski materyalne, naładowane elektrycznością odjemną. Wyrzuca je biegun odjemny (katoda) podczas przejścia elektryczności przez rurkę Crookesa, czyli rurkę o niezwykle silnem rozrzedzeniu mieszczącego się w niej gazu. Thomson obliczył, że masa tego pocisku, zwanego elektronem, jest o 1000—2000 razy mniejsza od atomu wodoru, najdrobniejszego ze wszystkich znanych nam atomów.

Elektron staje się więc jakoby masą pierwotną, atomem pramateryi. Zawarta w nim ilość elektryczności nie daje się od niego oderwać, oddzielić. W elektronie złączone są nierozdzielnie: cząstka materyalna z cząstką elektryczności. Według dotychczasowych badań, wszystkie elektrony są między sobą równe, identyczne bez względu na ich pochodzenie.

Teorya elektryczności skwapliwie skorzystała z atomu elektrycznego do wytłomaczenia prostego wielu ze swych zjawisk, jak np. przewodnictwa elektrycznego w metalach, gazach i roztworach. Chemia pragnie hypotezę o elektronach przyłączyć do teoryi atomowo-cząsteczkowej, modyfikując nieco tę ostatnią. Udaje się jej to, odkąd poznano dziwne substancye, które zdolne są same przez się, bez podniety zewnętrznej, wysyłać promienie katodowe, czyli owe pociski elektronowe. Pierwszą taką substancyę odkrył Becquerel w roku 1896, a był nią znany już zresztą od dawna pierwiastek uran. Wkrótce po tem od-

*) Ob. *Prawda* nr. 38, str. 451 z r. z.

kryciu p. Skłodowska-Curie wykryła drugi podobny pierwiastek: rad, nieznany dotąd zupełnie i zawarty obok uranu w rudzie smolistej w niezmiernie drobnej ilości (1 gram radu w 5,000 kilogramów rudy). Do tych dwóch przyłączył się jeszcze trzeci: tor, choć go już w 1828 r. wynalazł Berzelius. Prócz tych trzech pierwiastków promieniotwórczych odszukano kilka innych substancyj, których jednak natury pierwiastkowej nie jesteśmy jeszcze obecnie pewni, jak np. polonu, aktynu, radiotelluru itp.

Odrazu nasuwa nam się pod uwagę, że właśnie trzy wymienione pierwiastki promieniotwórcze stoją na samym końcu szeregu pierwiastków ułożonych według ciężarów atomowych, czyli że ich ciężary atomowe należą do najwyższych. Gdy ciężar atomu wodoru oznaczymy przez jedność, to ciężar atomu radu równy będzie 225, atomu toru — 232, a atomu uranu — 240! Czy to prosty przypadek? Czy też uznać musimy tak ciężkie atomy za znajdujące się w stanie nierównowagi i zaczynające się już rozpadać?

Gdy uczynimy z atomu zbiorowisko elektronów z olbrzymią szybkością kręcących się w swym obszarze na podobieństwo systemu gwiazdowego, to jasnem się stanie, że rozpadający się atom wyrzucać będzie stopniowo część swych elektronów, które, jako pociski materyalne, jako promienie katodowe, wybiegną w przestrzeń wolną. Atomy rozmaitych pierwiastków zawierałyby naturalnie rozmaite ilości elektronów, proporcyonalnie do swego ciężaru; a pierwiastki stałyby się tylko stopniami pośrednimi zagęszczenia materyi pierwotnej.

Wszechświat, to jedno wielkie zbiorowisko gwiazd i słońc; składa się ono z oddzielnych systematów planetarnych, w którym każde oddzielne indywiduum przedstawiać ma zamknięty w sobie systemat cząsteczek. Te ostatnie uważamy za zbiorowiska atomów, a każdy atom, to znów systemat elektronów. Być może, że w podobnem stopniowaniu zbiorowisk kryje się błąd zasadniczy, polegający na zbyt realnem przenoszeniu układu kosmosu na budowę materyi, lecz hypoteza układu w układzie, zbiorowiska w zbiorowisku, mimo swej całej naiwności tak jest ponętna i otwierająca nowy kierunek w badaniu zjawisk, że chwilowo zapanowała w nauce.

Nie dziwną się wyda w świetle tej hypotezy przypuszczalna możność przechodzenia od jednego atomu do drugiego. Wszak to tylko będzie zmiana ilości elektronów w atomie!

Badania uczonych amerykańskich, Rutherforda i Soddy'ego zdają się możność podobną stwierdzać. Doświadczenia przeprowadzali oni nad torem i znaleźli rzeczywiście, że z soli promieniotwórczego toru w wodnym roztworze amoniak strąca wodzian toru, niewysyłający wcale elektronów; w roztworze pozostaje natomiast niezmiernie drobna ilość jakiejś soli toru X (w odróżnieniu od toru strąconego przez amoniak), który przeciwnie wydziela bardzo intensywnie elektrony. Jeżeli osad torowy, powstały od amoniaku, rozpuścimy w kwasie i pozostawimy go na czas pewien, to powróci z powrotem nabierać zaczynie własności wysyłania promieni katodowych, dojdzie do swej normy, a wtedy znów amoniakiem da się z niego oddzielić wodzian toru niewysyłający elektronów od roztworu z niezwykle promieniotwórczym torem X.

Mamy więc do czynienia jakoby z rozpadem atomu toru na nieznany nam dotąd bliżej tor X, przyczem, jako towarzyszący temu rozpadowi objaw, uważać musimy częściowe wyzwalanie się elektronów na zewnątrz. Drobne jednak tylko ilości toru X się tworzą. Według obliczeń Rutherforda i Soddy'ego zaledwie jedna dziesięciotrylionowa cząstka całej ilości soli torowej znajduje się w danej chwili w tem stadyum rozpadu. Tak drobnej cząstki nie jesteśmy w stanie nawet zważyć; powstaje ona jako niewidoczny nalot na miseczce po odparowaniu roztworu. Poznajemy ją tylko na zasadzie niezwykle silnie rozwiniętej własności promieniowania, bo tor X nie zatrzymuje się, lecz biegnie w swym rozpadzie dalej, jak kula rozpędzona.

Tor X wysyła z jednej strony promienie katodowe, czyli wyrzuca z siebie elektrony, a jednocześnie wydziela szczególnego rodzaju ciało, tak zwana przez Rutherforda emanacya, która zachowuje się, jak gdyby była gazem, dyfuduje bowiem w gazach według praw ogólnych i kondensuje się w temperaturze —120°. Emanacyi nie znamy w stanie odosobnionym, lecz w mieszaninie z innymi gazami. Ilość jej jest zapewne tego samego rzędu, co toru X; poznajemy ją również z własności promieniowania.

Emanacya w dalszym ciągu się rozpada, bo po pewnym czasie traci swe własności promieniotwórcze. Na pytanie, w co emanacya toru się zmienia, nie potrafimy obecnie odpowiedzieć; rzecz to na razie jeszcze nie zbadana.

Natomiast drugi pierwiastek, rad, odkryć nam pozwolił dalej idące zmiany. Pierwiastek rad, podobnie jak tor, rozkłada się, wydziela z siebie cząstki materyi, elektrony. Starano się wynaleźć pierwsze stadyum jego przemiany, ów rad X, lecz dotąd go nie wyszukano. Natomiast wydziela on z siebie także, jak tor, emanacyę, substancyę promieniotwórczą, którą uważać musimy jako stopień rozkładu atomów radu. Emanacya jego zachowuje się również podobnie do gazu i kondensuję się w temperaturze około —150°. Z własności tej skorzystali słynni uczeni, Ramsay i Soddy. Emanacyę z radu najpierw skonsendowali w rurce włoskowatej, zanurzonej w powietrzu ciekłem, po usunięciu gazów zanieczyszczających, rurkę wyjęto z powietrza ciekłego. Emanacya przeszła z powrotem w stan gazowy. Następnie zapomocą odrobiny chemicznie czystego tlenu gazowego przepchano ją do oddzielnej rureczki i tam zalutowano. Tak przygotowaną emanacyę Ramsay i Soddy badali spektroskopowo; po kilku go dzinach spostrzegli ze zdziwieniem w widmie blade linie pierwiastku helu, którego pierwotnie wcale tam nie zauważano i które stopniowo stawało się coraz to wyraźniejsze, aż wreszcie po kilku dniach zajaśniało w całym blasku. Emanacya z radu przeszła w hel. Nastąpiła oczywista zamiana pierwiastków, utworzenie się nowego. Doświadczenia kontrolujące, przeprowadzone z możliwą dokładnością, potwierdziły rezultat poprzedniego.

Fakt ten zdarzył się zaledwie kilka miesięcy temu i nie zdziwił nikogo. Przyjęto go jak rzecz dawno oczekiwaną. W chemii istniała wciąż myśl ukryta o możliwości przemiany podobnej. Sprowadzenie związków skomplikowanych do coraz to prostszych jest zasadą przewodnią w chemii. Czyż bowiem utknąć mielibyśmy na kilkudziesięciu pierwiastkach, jako na ostatecznym kresie prostoty?

Początek wieku dwudziestego pozwala wprowadzić do nauki ideę o jednej pramateryi i o zamienialności pierwiastków. Czyżby więc doświadczenia bardzo skrupulatne, wykonywane w całym wieku zeszłym nad zachowaniem ciężaru pojedynczego pierwiastku i nad niemożnością jego zniszczenia okazaćby się miały błędnemi? Rozwiązanie leżeć będzie pośrodku. Wzmiankowaliśmy już, że zaledwie tryliononową część soli torowej rozpada się. Nasze pomiary wagowe sięgają zaledwie do jednej dziesięciotysięcznej części grama. Należałoby naraz wziąć do analizy milion kilogramów soli torowej, aby spostrzedz różnicę w oznaczeniu o jeden decymiligram.

W granicach więc ilości przez nas analizowanych ca wadze różnicy pierwiastków nie wykryto, lecz nie daje to prawa do przyjęcia zasady bezwzględnej, bo badania spektroskopowe pozwalają nam odkryć nawet tak drobne ilości substancyi.

Być może, że szczegóły przedstawionej hypotezy o stopniach rozpadania się atomów ulegną z czasem zmianie, pozostanie jednak niezmiennem, że atom przestaje już być ostateczną granicą podziału materyi; po za nim istnieć ma jeszcze mniejsza cząsteczka, elektron, wspólna wszystkim atomom. Przez elektron tylko może być ruch przenoszony na eter międzyplanetarny i odwrotnie. Elektron staje się czemś pośrednim pomiędzy ważką materyą a eterem.

Rozpad atomu zauważony został jednak obecnie dla trzech tylko pierwiastków: toru, radu i uranu. Prawdopodobnie temu samemu losowi ulegają atomy reszty pierwiastków, tylko jako lżejsze wolniej ten proces odbywają. Zapewne pierwiastki innymi są dzisiaj, aniżeli były ongi przed wiekami. Atom nie jest wiecznym, nieśmiertelnym, ulega zmianie powolnej, ciągłej.

Fakt zamiany pierwiastku radu w pierwiastek hel jest znaczenia epokowego.

Kazimierz Jabłczyński.



Literatura niemiecka.

Nowe dramaty

Rok rocznie pojawiają się w pismach niemieckich stałe zapowiedzi: Gerhard Hauptmann pisze nowy dramat — utwór dramatyczny Maksa Halbego jest już prawie na ukończeniu — premiera najnowszej komedyi Hermana Sudermanna odbędzie się tego a tego dnia.

Rok rocznie w czasie odlotu bocianów święci literatura niemiecka „narodziny tragedyj" tych trzech mistrzów. A kiedy poczciwe boćki wracają do swych letnich siedzib, zastają już stypę pogrzebową... Od „Tkaczy," „Młodości," „Honoru" po „Czerwonego koguta," „Kry wiosenne" i „Jana Chrzciciela" (że wybiorę najsilniejsze i najsłabsze przejawy twórczości tych dramaturgów) znaczy się *gradatio ad minus* talentu i smaku artystycznego.

„Wichura Sokrates" Sudermanna, komedya — jak ją nazwał sam autor — należy do kategoryi udramatyzowanych satyr politycznych. Satyra taka z natury rzeczy musi być krwawą, gdyż najboleśniej dotyka i rani niezniszczone lub niezniszczalne ideały całych warstw społecznych, ośmieszając je i zdzierając powłokę, jaką ów „ideał" się okrywa. Kiedy więc Anglik Shaw bezlitośnie natrząsa się z mizernej roli, jaką rodacy jego odgrywali w północno-amerykańskich walkach wolnościowych lub z bajecznym humorem kreśli słomiany zapał wojenny miniaturowych państewek bałkańskich, czujemy wyraźnie, że autor za przedmiot swych ironicznych wycieczek obrał *tylko* te przejawy, które bądź swą sztucznością, bądź przesadnie koturnowem napięciem, bądź też brakiem tchu do wielkiego rozmachu same przez się nawinęły się dramaturgowi, zachowującemu jednak cały swój szacunek i traktującemu poważnie te przejawy, które na szacunek i poważne traktowanie zasługują.

Tej miary Sudermann zachować nie u-[illegible] i dlatego jego „komedya“ pragnąca być satyrą, stała się — farsą.

Sudermann obrał sobie za temat dramatu działaczy z r. 1848. Akcya rozgrywa się w roku siedemdziesiątym, więc wówczas, kiedy ideały r. 1848 przebrzmiały już dawno i tylko słabe ich echo tłukło się po partykularzach. Tendencya zaś satyry miało być wykazanie niedołęztwa tych, którzy w roku 1848 byli pełni zapału. I cóż zrobił Sudermann? Przedstawił poprostu bandę idyotów, niedorajdów, słabeuszów, frazesowiczów i zawołał do publiczności: Patrzcie i śmiejcie się! Jacy oni głupi i słabi, ci działacze z r. 1848! Publiczność śmieje się, tak jak każdego w pierwszej chwili na widok słabości ludzkiej śmiech zbiera. Czyż jednak to jest ironią? I to do tego ironią... krwawą, satyrą polityczną? Nie, to efekt krotochwilny. Tym ludziom wydarzyło się nieszczęście, że z przed nosa uprzątnięto im... program, treść życia. Przyszła nowa fala, nowy prąd i uniosły im to, co za święte poczytywali. Przyzwyczaili się nawet do nowego porządku rzeczy, tylko że z mózgów wylania się jeszcze od czasu do czasu wspomnienie przeszłości, by natychmiast przybrać kształty karykaturalne. Publiczności mówi np. jeden z nich patetycznie, tonem podniosłym o „proporcach nadziei, płomieniach namiętności“ (przebłysk tonu z r. 1848) — privatim jednak powiada ten sam potulnie do „przeciwnika“ politycznego [illegible] „Przyjacielu. Wybacz. Zapomnij.“ W tem ma być zapewne (Sudermannowi [illegible] się przynajmniej wydawało) satyra polityczna; dla nas jest to jednak tylko dowod słabości, objaw skarlenia. Satyrą ma być i to: syn (z zawodu dentysta) berszta niejako gromadki „wichur“ w typowym „Krähwinklu“ niemieckim, podejmuje się wyleczyć psa myśliwskiego księcia liliputciego państewka związkowego. Ojciec gwałtownie się oburza. Jakto! Syn jego, [illegible] nieprzejednanego wroga księcia, ma leczyć psy dworskie! To byłoby przecież profanacyą świętych ideałów roku 1848! [illegible] tem dostaje on zupełnie niespodzianie od księcia... order. I to położenie zmienia. Stary z lubością przypina znaczek na piersi, próżność jego mile jest połechtana, zapomina o „świętych ideałach,“ „proporce nadziei“ idą w kąt, „płomień“ namiętności gaśnie i — syn leczy psa. Sudermann chciał, aby to było satyrą polityczną. Niech tak będzie.

Jest to więc zasadnicze nieporozumienie: [illegible]tes myślał o klubie wichur politycznych („Klub der Sturmgesellen“) a stworzył klub, składający się z ludzi chorych [illegible] uwiąd starczy lub wodę w głowie. [illegible] oni najpierw śmiech, a potem litość. Wszak inne wrażenia, inne uczucia budzić powinna była satyra polityczna!

[illegible] jednak. Rzecz charakterystyczna: Sudermann jasno zdawał sobie sprawę z właściwego celu i tendencyi swych zarzutów. Wiedział, dokąd zmierzać powinien—i nie uczynił tego. Wystawił sobie, jako dramaturgowi, liche świadectwo niemożności zrealizowania swych planów. Bo oto ogłosił [illegible] festum (sposobem coraz częściej [illegible] z autorów dramatycznych praktykowanym) w jednem z pism berlińskich (*Tag*) myśli przewodnie, które nim przy pisaniu dramatu kierowały. Czytamy tam:

„W komedyi „Wichura Sokrates“ nie chciałem ośmieszyć naszej demokracyi, która swego czasu stworzyła ideę podstawową, lecz „stopniowy upadek i rozwiązanie się demokracyi,“ ów proces zwyrodnienia i przeobrażeń, który pod przygniatającym naporem idei bismarkowskich w umysłach się dokonał, a „który można, co do swej zawartości tragicznej, porównać z upadkiem ducha postępowego, coraz silniej obecnie się przejawiającym.“ Jakże jednak stać się mogło, że materyał sam w sobie tragiczny, przeobrazić chciałem w akcyę komiczną? Oto, bo najwyższy tragizm, który w życiu ludzkiem pojawić się może, a mianowicie zniżenie poziomu wyższego do banalności (der Niedergang zum Banalen) rozgrywa się zawsze w formach komicznych.“

Gdybyż to wszystko było w dramacie! Jakżeż wspaniałym byłby on wtedy! Niestety, niema tam wcale tego „stopniowego upadku“ ani przeobrażeń, ani owej tragicznej w treści a komicznej w formach linii z wyżyn idei w niże banalności — lecz jest oddany punkt ostateczny tej linii: upadek, banalność, słabość.

Sudermann ogłosił swe „wyjaśnienie“ z tego powodu, że — jak się uskarża—myśli jego nie zrozumiano lub je pojęto opacznie. A przecież gdyby rzeczywiście były lub będąc, jasno się tłomaczyły — nie trzebaby ich dopiero specyalnie „wyjaśniać.“ Najgorzej, jeżeli widz czy czytelnik do zrozumienia dzieła sztuki potrzebuje jeszcze komentarza autora. Wówczas bowiem wnioskujemy o nieudolności samego twórcy, o słabości jego dzieła. Tak też jest i w tym przypadku.

Dramat Halbego „Rzeka“ rozgrywa się na polu starć rodzinnych, jest waryantem typu „Furmana Henschla“ Hauptmanna, „Złotego runa“ Przybyszewskiego. Dramat taki wyrzuca za nawias społeczeństwa kilka osób, oświetlając starcia, wiążące i oddalające te osoby. Charakter rasowy nie występuje tu wcale, pierwiastki społeczne zatracają się do szczętu, ludzie pojawiający się na scenie, myślą i mówią wyłącznie o sobie, analizują wzajemny swój stosunek — akcya jest wewnętrzną, rozgrywa się w duszach, aparat zewnętrzny uproszczony jest do minimum. Sumienie, obarczone wspomnieniami przewinienia rzeczywistego czy urojonego, atawistyczne oddziaływanie zbrodni — to najgłówniejsze pobudki dramatyczne.

Dramat Halbego miał pierwotnie należeć do tego typu. Ba, kiedy autorowi nie starczyło siły do wykonania pomysłu. (Objaw zupełnie podobny do sudermanowskiego i konsekwencyami swemi podobnie o obu świadczący). Pożyczył więc sobie Halbe motywu z typu innego. A motywem tym było użycie starego jak świat czynnika dramatycznego: *deus ex machina*. Tam, gdzie rozwinąć nie można węzła dramatycznego, każe się zewnętrznym, przypadkowym, z istoty dramatu koniecznością wewnętrzną niewynikającym potęgom współdziałać i przyspieszać katastrofę.

Deus ex machina dramatu Halbego jest rzeką i to naszą Wisłą. Halbe i Wisła wzajem sobie pomagają, by rozwikłać węzeł dramatyczny. Czego Halbe nie umie—czyni posłuszna Wisła. Halbe podsuwa jej tylko swych „bohaterów,“ wymyśla położenia — by im ukręca Wisła. Bez współudziału Wisły nie powstałaby tragedya, jak znowu bez Halbego nie powstałby taki układ, któryby rzece pozwolił bez wielkiego natężenia doprowadzić starcie dramatyczne do ostatecznego załatwienia.

Rozważmy więc, co stworzył autor, a co uzupełnił jego naturalny sprzymierzeniec.

Oto są trzej bracia. Najstarszy, Paweł, jest właścicielem folwarku, leżącego w nader niebezpiecznem miejscu, bo tuż nad brzegiem dolnej Wisły i to tam, gdzie rozpęd jej w czasie powodzi wiosennych jest największy i najgroźniejszy. Młodszy, Henryk, jest inżynierem, studyował wiele i ma patent budowniczego dróg wodnych. Najmłodszy, Jakób, jest typowym, niemieckim „Naturburschem,“ nic nie umie, pasie świnie i w wolnych chwilach... marzy i poetyzuje. Na tych trzech mężczyzn przypada jedna kobieta, Renata. Najmłodszy ją kocha, średniego ona kocha, a żoną jest najstarszego. Ten ma wogóle największe szczęście. Sfałszowawszy testament ojca, stał się jedynym właścicielem folwarku, wypłacywszy dzieciom obowiązkowo na nich przypadającą część schedy. Renata, która zna zbrodnię męża, zrywa z nim stosunki małżeńskie, milczy jednak. Tymczasem wraca ze studyów inżynier Henryk. Pod wpływem dawnej, niezagasłej miłości ku niemu, zwierza się Renata z tajemnicy testamentowej. W ten sposób wytwarza się nienawiść braci ku sobie z powodu pokrzywdzenia majątkowego i Renaty.

Taki plan wymyślił Halbe, cóż jednak dalej począć? Co zrobić, by zadzierzgnąć węzeł tragiczny? Najprostsza rzecz: wezwać na pomoc Wisłę. I tak się też dzieje.

Właśnie kry na rzece ruszyły, zbliża się chwila groźna: jeżeli tamy wytrzymają napór, folwark uratowany, jeżeli nie—zalany, stracony. Najmłodszy brat postanawia tedy zrujnować najstarszego. Niech zmarnieje fałszerz testamentu i mąż ubóstwianej Renaty. Nocą skrada się nad brzeg, chcąc przebić tamę. Dowiedziawszy się o tem Paweł, dąży za bratem i po krótkiej utarczce słownej bracia zapominają, gdzie stoją i, wziąwszy się za bary, padają w wodę. Giną oczywiście w nurtach rzeki... O mądra Wisło! Jakżeś wspaniale załatwiła sprawę! Wszak z trzech braci pozostał teraz tylko Henryk i Renata... A właśnie para ta kochała się od dawna...

Tyle Wisła.

Teraz Halbemu łatwo było dorobić resztę. Wisła usunęła najważniejsze przeszkody, zawalidrogi akcyi dramatycznej, której węzeł rozcina jednym rozmachem Halbe. A ponieważ rzecz nie mogła się skończyć efektem komedyowym (boć przecież wspomnienia nękałyby zarówno Henryka jako też i Renatę), trzeba było dokończyć „tragedyą.“ Więc Henryk i Renata po szeregu dyalektycznych wywodów dochodzą do przeświadczenia, że współżycie jest niemożliwe i każde idzie w swoją stronę. Żegnaj, Renato... żegnaj, drogi Henryku — i kurtyna zapada, dramat się kończy.

Bertold Merwin.

ZE SZTUKI.

Wystawy p. Gawińskiego, p. Łempickiej i p. Kalvody.

W Salonie Krywulta mamy wystawy trzech artystów: p. Antoniego Gawińskiego, p. Leokadyi Łempickiej i Czecha p. Alojzego Kalvody.

P. Antoni Gawiński zdradza naturę niespokojną i rwącą się, może jeszcze niezrównoważoną, ale artystyczną. Są to usiłowania wydobycia czegoś ciekawego i interesującego nietylko samą stroną techniczną wykonania. P. Gawinski szuka środków malarskich jak najprostszych, a silnych do wypowiedzenia swych wrażeń i, co mu już można przyznać dzisiaj, to wrodzone poczucie harmonii barwnej oraz siłę i jędrność faktury.

Jeśliby wogóle przydawało się na co dawać rady i jeślibym miał do tego prawo, tobym poradził p. Gawińskiemu, żeby się wystrzegał strasznej hydry malarskiej, która się nazywa manierą. Dotąd p. Gawiński nie znajduje się jeszcze w jej szponach, ale pewne upodobania do brawury technicznej robią wrażenie, jakby ta strona szczególniej zainteresowała p. Gawinskiego i przysłaniała mu nieco ważniejsze cele sztuki. To już nie jest szukaniem prawdy, ale raczej uwierzeniem, że się ją znalazło. Przynajmniej takie robi wrażenie ogólny charakter wystawionych obrazów. To upodobanie w pewnej fakturze i w pewnym sosie, w jakim się podaje wszystkie swe utwory bez wyjątku, przetwarza się stopniowo w coraz większą manierę, i prze-

staje ona być indywidualnością artysty, a zaczyna przybierać cechy szablonu. Zastrzegam się, że p. Gawinski jeszcze nie jest w tem położeniu i o ile będzie poważnie szukał, studyował i badał, o tyle się w niem zapewne nie znajdzie.

Panna Leokadya Lempicka w przeciwstawieniu do p. Gawinskiego zdradza duży spokój i zrównoważenie. Prace jej są dobremi studyami z umiejętnością wykonanemi. Artystka chciała nadać swej wystawie charakter specyalny wystawy portretów i studyów dziecięcych. Jest to rzeczywiście najlepsza strona jej działalności artystycznej. Dzieci te nie są ani ludźmi w zmniejszeniu, ani martwymi manekinami, jak to się często spotyka w pracach wielu portrecistów. Główki te są przedewszystkiem prawdziwie dziecięce, a jednocześnie każda o własnym, indywidualnym charakterze.

Doskonałą, bez żadnych zastrzeżeń, jest główka Hani S. Małe bobo, jeszcze w poduszce, patrzy na widza z całym spokojem i powagą sytego a nieprzejmującego się jeszcze niczem dziecka. Dusza śpi, a usta za chwilę wydadzą jaki dziki okrzyk, jako jedyną manifestacyę zdrowia i życia. Marteczka D. jest znów prawdziwym, żywym i wesołym dzieciaczkiem. W ten sposób moglibyśmy przejść cały szereg różnorodnych typów o odmiennych indywidualnościach. A nie są to jakieś konwencyonalne szablony dziecka smutnego lub wesołego, dziecka złego lub dobrego, lecz szczere rezultaty obserwacyi dobrze zanotowanej. Kilka krajobrazów, rysunków i studyów kwiatów wprowadza miłą rozmaitość do tej galeryi główek. Również należałoby zwrócić uwagę na zbyt schowaną w kącie gablotkę z kilkoma dobremi miniaturami. Jest to rodzaj sztuki bardzo rzadko występujący na naszych wystawach.

P. Alojzy Kalvoda, artysta czeski, wystawił szereg obrazów pejzażowych. Musimy przyznać, że tym razem p. Krywult sprowadził bardzo interesujące prace artysty cudzoziemskiego.

Jest to niejako specyalnością Salonu Krywulta pokazywać nam obok sztuki polskiej i to, co inne narody tworzą. Nie zawsze jednak wybór jest trafny i artystycznie ciekawy. Rzecz prosta, że p. Krywult musi też liczyć się ze spodziewanem powodzeniem u szerszej publiczności i niejako z sensacyjnością sprowadzonego obrazu, bo któż mu w przeciwnym razie zwróci poniesione koszty? Dlatego więc, a może i z powodu konieczności nieraz sprowadzania obrazu „na niewidzianego,“ zjawiają się czasem płótna wielkie, ale przeciętne pod względem artystycznym. Miło więc jest nam zaznaczyć, że p. Kalvoda wart był kosztów sprowadzenia. Prace jego są w założeniu skromne, a motywem ich jest zwykle kawałek natury, kącik jakiegoś stawu lub pola, ale pojęty i odtworzony w sposób bardzo artystyczny.

Jeślibym się miał uciekać do obrazowego porównania, tobym powiedział, że każdy jego obraz nie jest martwym kawałkiem płótna, ale żyje i „rusza się.“ Wydaje się, że gdybyśmy uważnie wpatrzyli się w te doskonałe obłoki, jakie p. Kalvoda umieszcza na każdem niemal płótnie, tobyśmy dostrzegli, że stopniowo zaczną zmieniać kształty, łączyć się, rozstrzępiać i posuwać. To właśnie wrażenie ruchu dowodzi całej prawdy w ujęciu przedmiotu. Przytem każdy obraz pociąga dużą mestryą wykonania technicznego. Czuć rozmach pędzla szeroki i pewny rezultatu, wykwintną dekoracyjność faktury i zręczność posługiwania się dla osiągnięcia lepszego wrażenia takimi nawet środkami, jak odpowiedni wybór gatunku płótna. Gdyby p. Kalvoda zdradzał wyłączną dążność do używania tych sposobików i ograniczania się w ich zakresie, tobym go nazwał zręcznym rzemieślnikiem, ale u niego łączy się to harmonijnie w jedną całość świadomego swych celów artysty i zręcznego wirtuoza techniki. Dałoby się to porównać do muzyka, który gra artystycznie na koncercie, a jednocześnie pamiętał, żeby włożyć na siebie dobrze skrojony frak i krawat niezgnieciony.

Możnaby tylko zarzucić p. Kalvodzie pewną monotonność i surowość tonów zielonych, np. w trawach nawodnych, które w wielu jego obrazach stanowią plan pierwszy. Te barwy wymagałyby większego usubtelnienia.

Na zakończenie dodam, że oprócz tych wystaw w sąsiedniej sali są zgromadzone prace różnych artystów, a na ich czele spotykamy „Polowanie“ Józefa Chełmońskiego. Chwalić byłoby banalnem, trzeba więc tylko radzić pójść i zobaczyć, żeby zrozumieć, jak taki przeciętny temat, tak niećiekawie powtarzany przez mnóstwo malarzy, zamienił się w dzieło sztuki wysoce interesujące pod czarem pędzla naszego mistrza.

Sierp.

Kamil Pissarro.

Rzednieją szeregi wielkich szermierzy impresyonizmu, jeden po drugim znikają członkowie słynnych niegdyś, pod egidą Manet'a, zebrań tygodniowych w kawiarni Guerbois na Batignolles. Przed rokiem, wskutek bezmyślnego wypadku, zmarł Zola, niero złącznie związany z tą plejadą malarzy, których dzieł i teoryj bronił świetnem piórem i gorącą wymową. Teraz znów niedawno dowiedzieliśmy się o zgonie Pissarra, jednego z wybitniejszych mistrzów impresyonistów.

Jak już nieraz wyjaśniono, nazwa impresyonistów niezupełnie odpowiada głównemu charakterowi tej szkoły, a powstała ona dość przygodnie, przypadkowo, przyczem nawet pierwotnie była wymawiana z pewnym odcieniem sarkastycznym. W malowaniu impresyj nie było nic nowatorskiego, boć po wsze czasy malarze przelewali na płótno odebrane od przyrody wrażenia. Ale Manet, a za nim Degas, Monet, Pissarro, Sisley, Cézanne, Renoir itd. dobijali się głównie o słońce, światło błyszczące, przezroczystość i drżenie powietrza, otulającego każdy przedmiot i nadającego mu coraz odmienny wygląd; chodziło im o uchwycenie każdego chwilowego, a drgającego życiem ruchu człowieka lub zwierzęcia, o wydobycie przeważnie malarskiego charakteru przedmiotu w przeciwstawieniu do górującej poprzednio strony rysunkowej. I w tem uwolnieniu się od przyćmionego oświetlenia pracowni oraz sztucznych, ciemnych sosów dawnych mistrzów, w stałem dążeniu do oddawania efektów światła i powietrza, do pojmowania natury w sposób własny i odrębny od pokoleń poprzednich—leży ich działalność reformatorska, ich znaczenie dla sztuki współczesnej. Wyśmiani, błotem i szyderstwami obrzuceni, wśród bardzo ciężkich warunków materyalnych odkryli jej nowe widnokręgi, utorowali nowe drogi, po których śmiało kroczyła naprzód do ostatecznego zwycięztwa. O wiele słuszniej więc byłoby mówić o szkole plein air'u. Świeżo zgasły Pissarro należał do najznakomitszych jej członków.

Urodził się w r. 1830 na wyspie antylskiej St. Thomas w rodzinie żydowskiej pochodzenia hiszpańskiego, którą prześladowania religijne przed wiekami sprowadziły do Holandyi. Wykształcenie artystyczne odebrał w Paryżu pod kierunkiem mistrza Corot, a do grona zgrupowanego około Manet'a przyłączył się dopiero w wieku dojrzałym, kiedy artyści zwykle już nowych dróg nie szukają. Do tego czasu malował poważne i nastrojowe krajobrazy normandskie w kierunku przez Millet'a wytkniętym, którym brakowało monumentalności pierwowzoru. Wśród krytyki i publiczności cieszył się wtedy dużem uznaniem. Snadź jednak nie czuł się zadowolony osiągniętem powodzeniem, nęciły go nowe sposoby traktowania światła i powietrza, kusiło pojmowanie natury bardziej intensywno-malarskie. W pogoni za możliwie doskonałem rozwiązaniem tych nowych zadań przez pewien czas był przyjął wchodzącą wtedy w użycie technikę pointelizmu t. j. malowania nie farbami zmieszanemi na palecie, lecz zupełnie czystemi, które artysta w kształcie kropek lub kresek kładzie na płótno i które dopiero w oku widza w ton ogólny połączyć się mają. W roku 1870, podczas wojny francusko-niemieckiej Pissarro wraz z Klaudjuszem Monet udali się do Londynu, a tutaj malowidła wielkich, angielskich pejzażystów pierwszej połowy zeszłego stulecia miały wpływ decydujący na dalszy rozwój ich talentu. W tych Anglikach, prawdziwych pratwórcach nowoczesnego plein air'u, których dziedzictwo artystyczne leżało odłogiem we własnej ojczyźnie, Francuzi odnaleźli swych ojców duchowych. W cudownych, przepojonych słońcem obrazach Turner'a, podobnych do widziadeł bajecznych, w prostych, jasnych krajobrazach Constable'a i Bonington'a ideały i dążenia impresyonistów w znacznej części już były urzeczywistnione. Wpływu tego Pissarro w listach swych bynajmniej się nie wyrzeka.

Jako artysta należał on do natur miękkich, lirycznych; jaskrawe efekta barwne, rozżarzone światło letnich południ mało go pociągały, miłował przedewszystkiem spokojne, trochę szarawe światło jasnych popołudni i w oddawaniu go doszedł do mistrzowstwa. Większość jego prac z okresu późniejszego wykonana jest w takich tonach chłodnych, melancholijnie jasnych, jak np. liczne widoki paryskie, które słusznie pierwsze w jego twórczości zajmują miejsce. Mało kto, a może i nikt przed nim nie potrafił odtworzyć z taką prostotą i w sposób tak wielce charakterystyczny ogromnych placów Paryża, jego pięknych mostów i szerokich, w dal uchodzących bulwarów wraz z nerwowem, pełnem ruchu życiem tysiąca spieszących przechodniów i karet. Jeden z pierwszych z zewnętrznej, zawsze trochę koszarowej strony nowoczesnych, wielkich miast umiał on wydobyć pierwiastek malowniczy i pod tym względem nawet wśród impresyonistów zajmuje odrębne stanowisko. Ceniony i lubiany zmarł w ciszy swej wiejskiej siedziby.

Po za różnymi stopniami talentu, jedna cecha wspólna łączy prawie wszystkich artystów tej grupy i szczególną jedna im sympatyę—wysoka ich wartość moralna. Jakaż w nich siła charakteru, co za szczerość i stałość przekonań artystycznych! Mimo braku poparcia, prześladowania i dość nieraz dotkliwej biedy nigdy nie sprzeniewierzyli się swym ideałom, nigdy nie naginali się do gustów i wymagań publiczności. A już owej blagi, którą tak często zarzucamy Francuzom, trudno się nawet w małym stopniu w nich dopatrzyć. Tej niby to narodowej wady nie posiada ani Manet, ani Monet, ani Degas, ani Cézanne, ani Pissarro, ani Renoir, ani Sisley. Nawet po ciężko zdobytem uznaniu, gdy za obrazy, sprzedane za dziesiątki lub setki franków, zaczęto płacić tysiące, żadnej zmiany zauważyć nie można. Pozostali w cieniu swych pracowni lub wiejskich ustroni, gazetom materyału do reklamowych wzmianek nie dostarczali i bynajmniej nie stali się bardziej pochopnymi do korzystania z ciężko wywalczonej popularności. I owszem, często stronili od wiel-

kich jarmarków artystycznych, salonów dorocznych, do których oczywiście ich teraz skwapliwie zapraszano. Tak np. Monet i Degas rzadko bardzo tam wystawiają. A czy wogóle wiele osób, nawet interesujących się poniekąd sztuką, wie, czy jeszcze Monet żyje, lub że Pissarro żył do niedawna?

Taka nadzwyczajna skromność, gorące oddanie się sztuce i twórczości napełnia duszę głębokim szacunkiem. Czytamy często o wypaczaniu charakterów w naszej epoce, może jednak tak źle nie jest i ta biedna nasza doba nie gorzej od swych poprzedniczek się przedstawia?

Paweł Ettinger.

NOWE KSIĄŻKI.

— Prof. Bruckner: **Starożytna Litwa.** Ludy i Bogi, Szkice histor. i mitologiczne (Warszawa, 1904, nakład Księgarni Naukowej).

Nie jestem fachowym znawcą historyi, nie mogę jednak pominąć milczeniem dostrzeżonych przeze mnie w tem dziełku usterek.

Przedewszystkiem co do pisowni słów litewskich, autor, jakkolwiek posiada język litewski, nie zna jednak najnowszych poglądów i zdobyczy literatury litewskiej. Spotykane w pracy prof. Brücknera słowa: **kankle, pota, tulisze, ligasze, wełnas, diwiriksna, wurszajt, mielu, mielu rugos** itp. pisać należy: **kankliai, puota, tilušonis, ligušonis, velnis, dievorykšte, viršaitis, malu, malu rugius** itd. Prof. Bruckner widocznie nie zna dzieł Bassanowicza, Dowkonta i innych, które ostatnimi laty wzbogaciły historyczną literaturę litewską. Niezależnie od wspomnianych prac, wydanych oddzielnie, czasopisma litewskie również wyjaśniły niejedną kwestyę z zakresu historyi i mitologii Litwy. Cudzoziemiec więc, przystępując do badań nad litewszczyzną, winien uwzględnić te najnowsze prace.

Oto do jakich nieprawdopodobnych wniosków doszedł prof. Bruckner: „Litwin nie ma nawet (patrz str. 83) osobnych wyrazów dla nazwania żony i kobiety, wesela i ślubu; żonę i kobietę zwie słowem, urobionem od „macierzy“ lub „samą,“ a wesele i ślub nazywa tylko z ruska lub polska.“ Pragnąłbym wiedzieć, jak prof. Brückner uzasadnia naukowo pokrewieństwo wyrazów: **żona—žmona** (od žmogus — człowiek; wyrazy pochodne: žmogiskas, žmonėtiesi, žmonauti itd.), **kobieta — motere, wesele — rostures, ślub — aprainikavimas?** Nie wiem także, dlaczegoby litewskie „motere“ miało pochodzić od polskiego „macierz,“ a nie odwrotnie, lub też polskie i litewskie od trzeciego, starszego źródła.

Niemniej subjektywnem jest twierdzenie autora, że „nuotaka“ (narzeczona) odpowiada pojęciu „zbieg,“ a także że słowo „alus“ (piwo) jest pochodzenia germańskiego (?); tymczasem w tłómaczeniu dosłownem „nuotaka“ oznacza towarzysza podróży, lub kogoś, kto z kimś idzie („nuotaka“ pochodzi od „takas“ — droga, ścieżka, „nuo“ — przystawka). Wyraz zaś „alus“ ma wiele pochodnych wyrazów, np. **alude, aldarys, alininkas, alinis** itd., co przemawia za starożytnością jego pochodzenia.

Bardzo śmiałe jest również mniemanie autora, że „żadne słowo (str. 11) nie wskazuje wyższego ładu społecznego, nic nawet nie dowodzi znajomości kruszców.“ Na to odpowiadam, że w każdym słowniku litewskim stal nazywa się **plienas**, miedź — **varys**, sól — **druska**; kto wie nawet, czy nazw żelaza i rdzy (**gelzis, rudis**) nie zapożyczyli Słowianie od Litwinów, tem bardziej że przymiotnik „rudas“ najdokładniej odpowiada kolorowi rudy żelaznej.

Co się zaś tyczy poziomu, na jakim stał ustrój społeczny w starożytnej Litwie, odsyłam ciekawych do dzieła S. Daukantasa: „Lietuvos istorija.“

Dalej autor przypuszcza niesłusznie, że nazwa świątyni Romow („Ramava“ po litewsku) pochodzić miała od słowa Rzym, tymczasem „Ramava“ w literalnem tłomaczeniu oznacza miejsce do ukojenia duszy („ramus“ — spokojny).

Podobnie nazwa Prusy („Parusiai“ po litewsku) pochodzi nie od wyrazu uszczypliwego „prausna“ (pysk), lecz od miejsca zamieszkiwania plemienia dokoła świątyni pogańskiej Rusnis; przystawka „pa“ znaczy dookoła. Rusnis zaś oznacza miejsce (świątynię), gdzie się palił wieczny ogień („ruseti,“ „rusenti“ — spokojnie się palić).

Jaćwingowie (Juodvyžiai) zaś wbrew twierdzeniu prof. Brücknera otrzymali nazwę od czarnych łapci („juodos vyžos“), jak to wykazał dowodnie Bassanowicz.

W dalszym ciągu spotykamy znowu gołosłowne twierdzenie, że „ani Krywe nie istniał, ani posągów w Romowe nie było; „krywe“ to nazwa laski.“ Że kapłani Krivisowie — Krivaitisowie egzystowali, że najstarszy kaznodzieja nazywał się Kriviu — Krivaitis, że rozkazując posługiwali się laską „krivule“ (nie zaś „krywe,“ jak autor dowodzi), świadczą o tem ludowe podania i śpiewy.

Ponieważ nie mam zamiaru roztrząsać tu dzieła prof. Brucknera we wszystkich szczegółach, pomijam przeto kilka drobniejszych punktów, na którebym się również nie zgodził.

A. Maciejewski.

KRONIKA.

— Dnia 21 b. m. w nocy, do jadącego w powozie gubernatora łomżyńskiego, bar. Korfa, niewykryty sprawca strzelił trzykrotnie — jedna kula przebiła czapkę, nie wyrządziwszy napadniętemu szkody.

Wiadomości społeczne. *Gaz. Pols.* donosi, że stróże warszawscy zamierzają utworzyć stowarzyszenie wzajemnej pomocy, w celu polepszenia warunków swego bytu, pośrednictwo w pracy, zapomogi oraz nagrody za długoletnią służbę w jednem miejscu, kasę oszczędnościowo-pożyczkową itp.

-a— Według danych urzędowych, ludność gub. Podolskiej w roku zeszłym wynosiła 3,086,906 głów, w tej liczbie 2,376,383 prawosławnych (77%), 406,674 Żydów (1,32%), 281,075 katolików (9,1%), 18.559 rozkolników (0,6%) i 3.709 ewangelików (0,1%). Średnio wypada 83 mieszkańców na wiorstę kwadra[illegible].

— W Petersburgu założono Towarzystwo wzajemnej pomocy niezamożnych Litwinów, urządzania szpitalów, przytułków, tanich mieszkań czytelni itp.

— Mający się odbyć w Petersburgu zjazd kobiet w sprawie oświaty i dobroczynności odroczono do 24 czerwca 1905 r.

— Podczas obrad w parlamencie niemieckim nad projektem sądów handlowych postanowiono żądanie przyznania kobietom, pracującym w handlu, prawa wyborczego czynnego i biernego we wspomnianych [illegible]

— Róża Luxemburg skazana została w Zwickau na 3 miesiące więzienia za obrazę majestatu.

— Sąd w Jarocinie w Poznańskiem, skazał na pół roku więzienia ucznia szewckiego, Józefa Olsztyńskiego, który uszkodzić miał obraz olejny ks. Bismarcka, dar ks. Radolina, uczyniony szkole tamtejszej za 700 marek. Olsztyński miał się przytem wyrazić: „Bismarck nie jest wart tego, ażeby wisiał w szkole.“

— Izba karna w Poznaniu skazała odpowiedzialnego redaktora *Pracy*, Lisowskiego na 200 m. kary za pomieszczenie artykułu o „żelaznym kanclerzu.“

— W kopalniach węgla w Gliwicach zabroniono pod karą 5 marek używania mowy polskiej; przekraczający zakaz dwukrotnie — będą wydaleni.

— Wskutek skargi 27 osób, obwinionych o zaburzenia w Hucie Laury, na wyrok Izby karnej bytomskiej, senat sądu Rzeszy postanowił sprawę odesłać do powtórnego osądzenia w pierwszej instancyi.

— Ze Lwowa donoszą, że na tamtejszych koszarach wojskowych niemieckie napisy mają być zastąpione polskimi.

— Towarzystwo „Pomocy“ Żydów niemieckich w Berlinie wspierające współwyznawców w Galicyi, Rosyi, Rumunii i Turcyi, odbyło w m. b. doroczne zebranie ogólne. Liczy ono 4,500 członków, dochód roczny wynosi 40,000 marek. W r. z. wyjątkowo udzielono ubogim z Rosyi 543,000 m. Jeden z członków podał wniosek szerzenia języka niemieckiego, zamiast żargonu, śród współwyznawców na Wschodzie.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratorów okręgów naukowych, że Żydzi nie mogą być członkami rad opiekuńczych gimnazyów i progimnazyów żeńskich oraz szkół chrześciańskich.

— Projekt urządzenia przy uniwersytecie warszawskim kuchni dla studentów, mimo załatwienia wszelkich formalności i wyznaczenia przez ministeryum sumy na ten cel potrzebnej, został odroczony z tego względu, że także sama kuchnia, wzniesiona znacznym kosztem w Petersburgu, jest już nieczynna.

— Wydane przez ministeryum oświaty ograniczenie procentowe Żydów w szkołach średnich i niższych technicznych nie dotyczy szkół rzemieślniczych.

— Sekcya petersburskiego zjazdu w sprawie wykształcenia technicznego uchwaliła rezolucyę, oświadczającą, że kary cielesne dzieci powinny być uznane za przestępstwo i zniesione raz na zawsze, że należy wprowadzić odpowiedzialność karną wszystkich tych, którym powierzono dzieci, za wszelkie naruszenie ich nietykalności fizycznej.

— Politechnika w Kijowie została [illegible] rzona. Wznowiono również wykłady w uniwersytecie warszawskim.

— Departament naukowy ministeryum skarbu zawiadomił, że do egzaminów ostatecznych w szkołach handlowych mogą być dopuszczane osoby postronne.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzono wystawy zbiorowe: akwarel Juliana Fałata, krajobrazów Michała Wywiórskiego, oraz takichże prac artystów krakowskich: St. Czajkowskiego, St. Kamockiego, Stefana Filipkiewicza i H. Szczyglińskiego.

— Zarząd spółki udziałowej „Salon artystyczny“ w Warszawie ogłosił konkurs na typową, piękną głowę męzką. Termin do 15 kwietnia r. b. Nagroda pierwsza (150 rb.) przyznana będzie przez ogół głosujących imiennie artystów, druga (75 rb.) — przez publiczność, zwiedzającą wystawę.

— D. 15 maja r. b. we Lwowie urządzona będzie wystawa fotograficzna.

— Komitet mającej się odbyć wystawy przyrodniczo-lekarskiej i hygienicznej we Lwowie ogłosił konkurs na projekty afisza, medalu i dyplomu. Nagrody trzy: 200, 100 i 50 koron, termin do d. 1 marca r. b. Szczegółów zasięgnąć można u przewodniczącego komitetu dr. K. Krzyżanowskiego, w Namiestnictwie we Lwowie.

Literatura i prasa. Od nowego roku zaczął wychodzić w Petersburgu miesięcznik p. t. *Wiadomości wydziału ziemskiego*, organ urzędowy ministeryum spraw wewnętrznych, który będzie ogłaszał wszelkie rozporządzenia i sprawy tyczące się działalności instytucyj włościańskich.

— Dziennik finlandzki *Wasaposten*, zawieszono na [illegible]

— Z rozporządzenia władz zawieszone zostało zupełnie wydawnictwo gazety *Ruskaja Ziemla*.

Wiadomości naukowe. Dnia 12 lutego Królewiec obchodzić będzie setną rocznicę śmierci Emanuela [illegible]

Zdrowie publiczne. *Prawit. Wiest.* donosi: „D. 16 stycznia w laboratoryum Cesarskiego Instytutu medycyny doświadczalnej, przy przygotowywaniu preparatów przeciwko gruczołowej formie dżumy, znajdującem się w zupełnem odosobnieniu od Kronsztadu i innych fortyfikacyj, zachorował kierownik laboratoryum, W. L. Turczynowicz-Wyżniekiewicz, zajęty pracami przy żywych kulturach dżumy. Chorobę uznano za dżumę. Pomimo energicznego leczenia i powtórnego zastrzyknięcia surowicy przeciwdżumowej, chory d. 20 b. m. zmarł. Wszystkim osobom, które stykały się z chorym i całemu personelowi laboratoryum, we właściwym czasie dokonano szczepień zapobiegawczych. Z rozporządzenia dowódcy portu, generał-majora księcia Orbeljani, zastosowano środki zupełnego odosobnienia personelu fortu z wybrzeżem.“ Dwóch felczerów, którzy brali udział w doświadczeniach zachorowało już na dżumę.

— W Warszawie szerzy się ospa.

Sprawy ekonomiczne. Według przybliżonych obliczeń komitetu statystycznego, centralnego — pisze

Warsz. Dn. — na każdy pobierany w formie podatku rubel, ludność kraju Nadwiślańskiego otrzymuje od rządu z powrotem drogą zaprowadzenia różnych przedsięwzięć, mających na celu podniesienie dobrobytu ludności 1 rb. 14 kop., czyli o wiele więcej, aniżeli pobiera rząd. Za tegoż rubla ludność gubernij małorosyjskich otrzymuje tylko 92 kop., w gub. południowych 89 kop., w południowo-zachodnich 82 kop., północnych 81 kop., wschodnich 80, w środkowo-przemysłowych 72 kop. i w centralnych wielkorosyjskich zaledwie 47 kop."

— Powstały nowe spółki włościańskie: „Pożytek" we wsi Boska Wola, „Praca" w Odechowie, gub. Radomskiej i „Nadzieja" we wsi Wiskach, gub. Siedleckiej.

— Dnia 8—9 lutego r. b. odbędzie się jarmark na nasiona, w Warszawie, w Tow. cyklistów.

— Bankowa kasa oszczędności utworzyła oddziały ruchome, wysyła w okolice podmiejskie swoich urzędników, którzy w pewnym oznaczonym czasie zbierają oszczędności od ludności okolicznej, przeważnie robotników fabrycznych.

— W Radzie państwa złożony został opracowany przez ministeryum rolnictwa i dóbr państwa projekt szerzenia kredytu melioracyjnego przez utworzenie komitetów miejscowych do udzielania pożyczek w guberniach, nieposiadających ziemstw, gdzie zaś te istnieją — za ich pośrednictwem, na kupno maszyn i narzędzi rolniczych, inwentarza żywego i nasion, a w razach wyjątkowych na ulepszenia w zakresie rybołówstwa, jedwabnictwa, ogrodnictwa itd. Pożyczki będą otrzymywać stowarzyszenia rolnicze i spółki włościań-[illegible].

— W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy r. z. do okręgów Amurskiego i Nadmorskiego przybyło 1,666 rodzin (11,107 osób obojej płci), co razem z pojedyńczymi emigrantami daje ogólną liczbę 14,985 osób; utworzyli oni w okręgu Nadmorskim 34 nowe wsi, w których osiadło po 143 rodzin; każda z nich otrzymała 15 diesiatyn ziemi. W okręgu Amurskim osiedliło się 576 rodzin; tu warunki kolonizacyi są znacznie trudniejsze, z powodu zupełnego braku dróg od linii kolejowej w głąb kraju. (Wostocz. Obozrenie).

Koleje i komunikacye. Na ostatnim zjeździe taryfowym zapadła uchwała włączenia do bezpośredniej komunikacyi rosyjsko-chińskiej okręgu warszawskiego dla wysyłania ładunków pociągami osobowymi i towarowo-osobowymi, na początek ze stacyi Warszawa [illegible].

— Od d. 14 stycznia bilety dla podróżnych wszystkich trzech klas, wydawane na stacyi Kowel przez Lublin w kierunku Warszawy i odwrotnie, w komunikacyi wewnętrznej i bezpośredniej, ważne są również na linię Kowel-Brześć-Warszawa.

— Wszystkie Towarzystwa kolejowe w Rosyi otrzymały zawiadomienie z ministeryum, aby w ciągu dwóch lat zlikwidowały rachunki z Towarzystwami ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków i obmyśliły sposób wynagradzania robotników samodzielnie.

Katastrofy. Miasto Aalsund, w Norwegii, zniszczył pożar. Szkody wynoszą 20 mil. koron.

Zmarli. Władysław Bakałowicz, artysta-malarz w Paryżu.

— Wicenty Rodella, profesor chemii w Medyolanie — stracił życie przy doświadczeniach laboratoryjnych.



Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. Karo. Rękopis do zwrotu.

Panu Sol. w Saratowie. Korzystać nie możemy. Z podziękowaniem zwracamy.

OFIARY

Na powodzian. W. Mańkowski z Bijska rb. 5; Jaworski z Satanowa rb. 3, oraz na wpis dla niezamożnych uczniów rb. 2.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою, Варшава 15 Января 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.